

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 205.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1 pół.

Warszawa, 29 sierpnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU. Cyganka, wiersz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Toruń (z dwoma drzeworytami). — Janusz Radziwiłł, hetman wielki litewski (dokończenie). — Ruiny zamku we wsi Krupe (z drzeworytem). — Przegląd piśmienniczy. — Św. Cyryl i Metodiusz (dokończenie). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Szachy. — Rebus.



CYGANKA. (Z rysunkiem Pillatego.)

I.

W jej czarnych oczach ogień się zarzy,
Jej krucze włosy zwolna się wija

Pierscieniem węzów po smagłej twarzy,
W węze się mienia nad smagłą szyja,
Z sznurem koralu łączą się w jedno,
Niknąc pod zwojem jaskrawych chustek;
Lecz zwój jaskrawy, korałe bledną
Przy karminowej barwie jej ustek.

Wysmukła kibić, strojna w lachmany,
Przy cudnej krasie smagłego lica,
Wywiiera urok dziwny, niezany:
Wszystkich czaruje, wszystkich zachwyca...
O, bo to dziecię niewiernej tłuszczy,
Bandy cygańskiej, co lat tak wiele

Z przekleństwem ludów tuła się w puszczy,
Szatańską piękność wzięło w udziale.

II.

—„Zbliźcie się do mnie, piękni panowie!
Cyganka zawsze wróżyć gotowa,
Cyganka szczerą prawdę wypowie,
Wyczyta z dłoni prorocze słowa;
Przeszłość i przyszłość łatwo odgadnie,
Bo za pomocą zaklętych czarów,
Obce tajniki podsłucha zdradnie,
Odkryje wątek skrytych zamiarów.
O, bo Cygance od losu dana
Jasnowidzenia prorocza siła,
Kabalistyczna wiedza nieznaną;
Ale by szczerze wam powróżyła,
Dajcie jęć pieniądź srebrny lub złoty
Na sznur koralu i wstążek zwoje,
Korale—to są moje klejnoty,
A siła czarów—to skarby moje.

III.

—„Panie! tyś wielki, bo ludzie mali
Wielkim człowiekiem cię okrzyknęli,
Choć żądzą złota serce ci pali,
Choć pycha dziś już włosy ci bieli.
Ty, który liczysz gwiazdy na niebie
I dumnym okiem gonisz za niemi,
Olbrzymie! czemu, pytam ja ciebie,
Gnuśnym swém ciałem hołdujesz ziemi?
Świat cię nie poznał, córka Cygana
Jedną tajniki twoje odgadnie,
Wrodzonym zmysłem wiedzy szatana,
W złotym kielichu dostrzeże na dnie
Ukrytą kroplę gorzkiego jadu
I gorzką prawdę w twe oczy cisnie,
Że jesteś niższym nawet od gadu,
Co z prochu powstał, w proch się rozprysnie.

IV.

—„I tyś tu znów, rolniku stary?
Zdawna się znamy—bo ludzie proszą
Wierzą w cygańskie gusła i czary,
W których nadziemski, wieszczęci duch gości.
Dłoni twa zbolęła, znojem oblana,
Szorstka—jak świeżo zorana rola,
Gruba jak wasza wiejska sukmana,
Czarna—jak wasza wieśniacza dola.
Choć głód dokucza, choć zima długa,
Zarobek mały, ciężka robota,
Lecz zato ostrze waszego pluga
Jaśniej od srebra błyszczy i złota.
Więc się przecuciem nie smuć złowrogiem,
Dnie pogodniejsze przyjdą z kolei;
Nie dawaj sercu leżeć odłogiem,
Pracuj, a nigdy nie trać nadziei!

V.

—„Mój czarnobrewy, sliczny sokole!
Krasny molojce, chlubo tej ziemi,
I ty odgadnąć chcesz przyszlą dołę,
I ty nie gardzisz gusły mojej?
Ale Cyganka wróżyć nie zdoła
Z tej dłoni wątłej, miękkiej, niewieściej,
Więcej wyczyta z białego czoła,
Gdzie się myśl tęskna, młodzieńcza mieści.
Łzawą żrenicą gonisz w przestworze,
Szukając szczęścia gdzieś za górą;
Lecz polot bystry wstrzymaj nieboże,
Tam go nie znajdziesz—bo szczęście z wami:
Porzuć uludne, tęczowe mary,
Poświęć dziś pracy swoje marzenia,
Życie mężczyzny—życie ofiary,
To pasmo trudów i poświęcenia.

VI.

—„Sliczna panienko o białej twarzy,
Daj mi swą rączkę malutką, białą,
Niechaj ci wróżka dzisiaj dogwarzy,
O czém twe serce dotąd milczało.
Przeszłość twa znana: to karta czysta,
Tak jak dłoń twoja—ale z tej karty
Już nie zabłyśnie myśl promienista,
Gdy los bój z tobą stoczy zaarty.
A chociaż skalać nie cię nie zdoła,
Lecz prąd światowy gdy cię otoczy,
Stracisz swobodę dziecka—aniola,
Nieraz zapłaczą śliczne twe oczy,
I serce łzami zajdzie krwawemi,
Kwiaty nadziei zwiędną powoli—
O, bo kobiety życie na ziemi
Jest wieńcem doli, cierniem niedoli.

VII.

„Jeszcze ostatnia wróżba została.
—Nie znam cię, jednak wciąż mi się zdawa,
Żem ciebie we śnie kiedyś widziała;
Ten wzrok łagodny, dumna postawa,
Zdawna mi znane. O, takie lica
Musiał mieć wielki ten król wasz, panie,
Co to nam w Mirze nadał stolicę,
Co to człowieka uznał w Cyganie.
I twoja ręka stwierdza me słowa:
Lemiesz i oręż godnie utrzyma,
Zawsze nieść pomoc biednym gotowa,
Tylko w niej dosyć braterstwa niema.
Niech dłużej spocznie w przyjaznej dłoni,
Niechaj jęć szczerze będą uściski,
Falszu, niezgody niechaj się chroni,
Bo kres twych życzeń dzisiaj już blizki.

„Co? nie chcesz poznać własnej swój doli?
Inne, ważniejsze dajesz pytanie?
Odpowiem, czyniąc zadość twój woli....
Ale czy słyszysz dzwonek ten panie?
To ktoś przejeżdża sąsiednią drogą,
Coraz się zbliża tu w naszą stronę;
Jeszcze Cygankę podsłuchać mogą,
A wszelkie gusła nam zabronione.
Muszę się ukryć przed niemi, panie,
Znajdę schronienie w blizkiej dąbrowie,
Żegnam cię teraz. Na twe pytanie
Niech jaknajprędzej los ci odpowie.“

VIII.

I rąco biegnąc dalej a dalej,
Skrzyła się między drzew starych cienie,
Przez chwilę migał sznurek koralu,
W końcu zniknęła jak sen—marzenie.

Seweryn Zaleski.

Kronika tygodniowa.

I któżby myślał że istnieje jakie podobieństwo między Warszawą a Konstantynopolem? że jakakolwiek styczność możemy mieć z tym miastem meczemitów i naretów, haremów i ulemów, sułtanów i drogmanów, baszów i krzywych pałaszów, wychudłych policzków i jedwabnych stryczków, złotego rogu i wiecznego barłogu, z tym miastem, o którego warownym położeniu już się nawet Polybiusz rozpisywał, a mędrcy arabscy poządlivem spoglądając na nie okiem, perlą Europy je nazywali.

A jednak ten punkt podobieństwa istnieje, i coraz bardziej się nawet rozszerza, nabiera przewagi i rośnie w doniosłość.

Stanowi go zwierzę, zwierzę domowe, pocziwe, potulne, chociaż na obcych zęby wyszczerza, zwierzę które starożytni Egipcjanie wraz z wielu innymi ubóstwiali, a nowożytni Francuzi urządzili dlań wystawę, zwierzę któremu Pluton powierzył straż piekieł, a klasztory katolickie pilnowanie swoich ogrodów, jednym słowem.... pies.

Owóz psów w ostatnich czasach namnożyła się tu tak wielką ilością, że trudno doprawdy zrobić krok na ulicy, żeby nie nastąpić na jakiś ogon lub łapę, co się nieraz dzieje z niemałą szkodą przechodniów, bo psy w takich razach zwykły drogą czynu upominać się o swoje krzywdę.

I nie chcemy tu występować przeciwko temu prawdziwemu przyjacielowi człowieka, jak go już starożytni przezwalili, albo uwłaczać w czémkolwiek szlachetnym, utylitarnym, a nawet intelektualnym jego przymiotom; bo w podaniach, w sztukach, w dziejach nawet, psy już zajęły swoje poczesne stanowisko, z którego ich wcale strącać nie zamysłamy. Ośmielamy się jennak zrobić tu uwagę, że zbyt liczne ich rozmnażanie się w mieście ma swoje szkodliwe, bardzo szkodliwe strony.

Pomimo wyrażenia ludowego, które najsmutniejszy los na świecie oznacza nazwą *psiej doli*, my znajdujemy że psy doznają wielkiego zachowania pomiędzy ludźmi i nie mają się tak bardzo na co skarżyć. Nie wspominając już o tych szczęśliwych salonowych pieskach, które właściciele, a szczególnie właścicielki ich otaczają takimi wygodami, że nie jeden biédak miałby im wiele nawet do zazdroszczenia—to i pies ubożego dostaje połowę jego stawy, jaka ona tam jest, i nie jeden sam sobie odejmie od ust, a żeby wierne swoje zwierzę nakarmić. Przyjaźń jaką pies poczuwa do człowieka, ten ostatni wielokroć mu nagradza. O skrzywdzenie psa klótnie, bójkę nieraz bywały, co mówię, wojny nawet. Treverowie wydali wojnę Sues-

sonom za wyrznięcie ich psów polowniczych, a w nowszych nawet czasach widzimy niejednego, którego utrata psa więcej zmartwi, aniżeli śmierć krewnego lub przyjaciela. Psy korzystają z pewnych praw cywilnych. Wiadomo że niedawno w Paryżu pies sekretarza ambasady angielskiej, jako zamieszkujący na terytorium poselstwa, a więc użytkujący z praw członkom ambasady przynależnych, został uwolniony przez sądy francuskie od opłaty podatku. Nawet przeciw wiecznym swoim wrogom, oprawcom, psy mają niezawodny posób. Pies, za pośrednictwem właściciela swojego, może sobie kupić tabliczkę z czarnymi literami na drzewie wypalonemi, a gdy tę tabliczkę nosi na szyi, żadnemu już oprawcy tknąć się go nie wolno, i może swobodnie przechadzać się po ulicach, bez żadnego niebezpieczeństwa. Otóż, weźmiecie mnie może za barbarzyńcę, za ministra sułtana Dahomeya, ale dzisiaj zamierzam właśnie wystąpić przeciwko wszelkim tym przewilejom i czynić wyrzuty oprawcom, że od pewnego czasu zbyt łagodnie i wyrozumiale pełnią swoją powinność.

Ludność psia nie żyje w tych samych warunkach co ludzka. Cywilizacja i inteligencja, z których my się tak wynosimy, nie zmusiła jeszcze psów do prowadzenia pomiędzy sobą krwawych bojów, a przynajmniej boje jakie prowadzą kończą się zwykle tylko na zranieniu albo skalczeniu, śmierci zaś bardzo mało się zdarza. Psy nie używają lekarstw, nie holdują rozmaitym systemom medycyny, niema pomiędzy nimi ani hydropatów, ani homeopatów, ani doktorów czarnych; nie używają oni ani pigulek Morrysona, ani kamfory, ani rewalenty arabskiej, skutkiem czego zwykłe choroby pomiędzy psami są nader rzadkie, i tylko wychowawce zamożnych domów, przyzywających w nagłych razach do pomocy weterynarzy, narażone są na częste wypadki śmierci. Większość psiego plemienia nie praktykuje tych wszystkich zbytków i dowiecipnych wynalazków, które przemysł ludzki dla skrócenia sobie życia i nabawienia się różnych chorób w czyn wprowadził. Z tego więc wypada, że niema u psów tej równowagi pomiędzy wypadkami śmierci a urodzenia, jaka wśród ludzi ma miejsce, i że więcej ich daleko rodzi się aniżeli zdycha, zwłaszcza iż, jak wiadomo, psia rodzina w dość liczne towarzystwie zwykła przechodzić na świat.

A przeto psy nie ponoszą żadnych ciężarów społecznych, których nie znajdują tu potrzeby wyliczać, każdy bowiem z osobna członek społeczeństwa jest z niemi dokładnie obeznany.

Z tych więc i wielu innych powodów ludność psia w danym czasie i miejscu wzrasta bardzo szybko, a nawet, naprzekór zasadom statystycznym, wzrastałaby tak, że wkrótce kraj gdzie psy rozmnażałyby się bez przeszkody, nie starczyłby na ich wyżywienie, gdyby temu nie zapobiegała przezorność zarządów miejskich, które umyślnie dla zapobieżenia temu, ustanowiły użyteczne posady czyszcicieli *vel* oprawców. Oni to mają obowiązek uprzątać nadmiar i chronić tym sposobem miasto od niebezpieczeństwa, jakiego skutkiem zbyt silnego rozrzedzania się potomków Cerbera i Anubisa mogło mu grozić.

Zdarzają się jednakże wypadki, że z tych lub o-wych powodów oprawcy zaniedbują się w swoich obowiązkach. Taki wypadek ma właśnie u nas miejsce. Zbytne rozmnażanie się psów tem jest groźniejsze, że w ślad za niemi idą i częstsze wypadki wścieklizny, tej prawdziwej plagi psiego rodu, która niestety, jak to co chwila smutnie stwierdza doświadczenie, i ludziom udzielać się może.

Owóz zauważano, że w bieżącym roku wypadki pokąsania ludzi przez psów wściekłych częstsze są niż kiedykolwiek, i dlatego należy obmyślić koniecznie sposoby zaradzenia złemu.

Najskuteczniejszym, według nas, byłoby środkiem wyłapanie psów włóczących się po ulicach, tych zwierząt bez właścicieli, a więc bez dozoru żadnego, które żyją własnym przemysłem z odpadków i śmieci. Jest ich niemało, szczególnie po bocznych ulicach, gdzie miejscowość łatwiejsze niż na głównych dzielnicach miasta przedstawia im środki wyżywienia. One to najczęściej dostarczają kontyngensu do tej strasznej choroby, na którą dotąd sztuka lekarska nie wynalazła jeszcze skutecznych środków.

Nie idzie za tem żeby psy o stałym pomieszkaniu i należące do pewnego właściciela, nie wściekały się także; ale łatwiej już w takim razie, zwłaszcza przy pomocy spostrzeżeń lekarskich ogłaszanych po gazetach, dostrzedz złe w samym zawiązku i wylczyć je jedynym możebnym lekarstwem,—śmiercią. Owóz nieraz powstawała dyskusja, czy wścieklizna może powstać u ludzi, bez zaszczepienia jęć przez ukąszenie wściekłego zwierzęcia? Niewiadomo nam jakie jest w tym względzie zdanie większości lekarzy, zdaje się

jednak iż niebrak na świecie ludzi, w których ową chorobę żadne ukąszenie nie zaszczepiło.

Nie będą się tu wdawać w ogólne ani szczegółowe wyliczenia, ale wolę wziąć przykład ze starożytności, bo ta pod każdym względem zostawiła nam mnóstwo wybitnych faktów do przytoczenia, faktów stwierdzających każde zdanie, które jako słuszne i sprawiedliwe, do każdego wieku, do każdej epoki zastosować się może.

Owóż w czasie wojen perskich, słył pomiędzy Grekami Atenczyk jeden, zwany Chares. Ten Chares tak obdarzony był siłą i tak miał szerokie dłonie, że w bitwie pod Salaminą schwycił ręką za krawędź jednego z okrętów perskich i trzymał go krzepko póty, póki mu ręki toporem nie ucięto.

Pomimo jednak tej siły i odwagi w obec nieprzyjaciela, Chares był bardzo małej duszy przy swojej żonie, co się zresztą nietylko u Greków, ale i dziś pomiędzy największymi bohaterami zdarza. Żona znała tę swoją nad nim władzę i używała jej do syta, zwłaszcza że, jak twierdzi podanie, była to jędrza, przy której sama nawet Junona, polowica Jowisza, wślawniona przez Homera, mogła być porównana do najłagodniejszego baranka.

Owóż Chares, wróciwszy raz z przechadzki do mieszkania, zastał wszystkich swoich domowników w wielkiej rozpacz.

— Co to jest? zapytał niespokojny.

— Ach! wielkie nieszczęście, odpowiedziano mu chórem.

— No i cóż takiego?

— Żona twoja Charesie, rzekł jeden z domowników, niespokojna z powodu długiej twojej nieobecności, wyszła na próg domostwa, żeby zobaczyć czy nie idziesz, i przebiegający właśnie wówczas ulicą pies ukąsił ją w rękę.

— Do krwi, dodał drugi.

— A może wściekły? zawołał trzeci.

— Pewnie, pewnie wściekły! powtórzyli wszyscy. Wielkie! wielkie nieszczęście!

Chares, jako rozważny człowiek, namyslił się chwilę, a potem rzekł.

— Nie lękajcie się o moją żonę, nie jej nie będzie.

— Jakto nie?

— Naturalnie, trudno jej wpaść w gorszy stan niż ten w jakim się obecnie znajduje. Ja się raczej obawiam o biednego psa, bo kiedy ją ukąsił, choćby nie był wściekły, wściec się nie zawadzi.

I wypadek stwierdził jego domysł, bo żona Charesa wyleczyła się z rany i tylko po tym wypadku więcej jeszcze aniżeli dawniej dokuczała wszystkim, a mianowicie mężowi.

Ten najwiarogodniejszy wypadek uczy nas, że czasem ukąszenie człowieka przez psa może dla psa samego stać się niebezpiecznym. Nie należy jednak na to się spuszczać, i dobrze uczyni zarząd miejski, jeżeli przeciwko zbyt niemu rozmnażaniu się psów, a mianowicie chodzeniu ich bez kagańców, przedsięwzięcie stosowne środki.

Z żywym zajęciem czytamy zawsze nazwiska ziomek odznaczających się na polu nauki; nieobojętną zatem rzeczą dla nas być powinno śledzenie młodzieży, która w zagranicznych zakładach naukowych do-bija się wiedzy, a pracą i zdolnością zaszczyt imieniu polskiemu przynosi. Dzienniki francuskie podają obecnie listę uczniów celujących w liceach paryskich i między niemi w liceum Bonaparte dostrzegłszy kilka nazwisk naszych ziomek, które tu przepisujemy: Malinowski, Korwin, Milewski, Szelechowski, (zapewne Szeligowski lub Zelechowski), Kisielewski, Niewęglowski, Hubert, Górecki, Mystkowski, Orłowski, Zaleski, Korsak, Sapieha, Michałowski, Ollendorf. W kolegium zaś municypalnym Rollina, Chrapowicki otrzymał wyższą na popisie nagrodę.

„W Mokotowie pod Warszawą, pisze do nas jeden z naszych czytelników, istnieje zakład dla poprawy dzieci, w którym mieści się 50 wychowanców. Pobierają oni tam początkowe nauki religii, czytania, pisanie i rachunków, nadto uczą się rzemiosł, jako to krawiectwa, szewstwa, ogrodnictwa, a po pewnym czasie pobytu w instytucji, oddawani bywają do terminu, dla wykształcenia się dalszego w obranym rzemiośle. Tym sposobem niejeden z tych wychowanców wyszedł na porządnego człowieka.

„Zakład ten nosi nazwę: *Instytut moralnie zanie-dbanych dzieci*. Nazwa ta jest zbyt rażąca, a nawet uchybiająca godności osobistej wychowywanym tam młodzieży, czego najbardziej w zakładzie tego rodzaju unikać należy; okoliczność bowiem ta, choć na pozór zdawać się może mało znaczącą, nabiera wielkiej wagi przez wzgląd na przyszłość dzieci pod opieką rady szczegółowej tej instytucji zostających. Z tego powodu zwracamy uwagę na konieczną potrzebę zmia-

ny powyższej nazwy, którą przeistoczyłby można w następny sposób: „*Instytut moralnej poprawy dzieci*.”

Zgadamy się najzupełniej z powyższym wnioskiem. Miłość własna wielkim jest bodźcem w życiu ludzkim i w żadnym razie ranić jej ani drażnić nie wypada. Dzieci, przychodząc do samopoznania, czują się upokorzone tą nazwą instytutu w którym odbierają wychowanie, a taki co wyszedł już na dobrego rzemieślnika, nie będzie chciał przyznać się do pierwotnego pobytu w tym zakładzie, bo pomieszczenie w nim uważane jest przez wielu jako rodzaj kary i pokuty. W instytucji moralnie zaniebdanych dzieci niektórzy widzą jakoby rodzaj domu kary i poprawy dla wieku dzieciennego. Tymczasem tak nie jest wcale, bo instytucja ta ma charakter więcej dobroczynny niż poprawczy. Dziecko nie winne temu wcale, jeżeli dla tysiąca powodów w najgłępij nawet uorganizowanem społeczeństwie wychowanie jego zaniedbanem zostało. Złe skłonności, naganne popędy, rozwijają się nieraz bez wiedzy dziecka; obowiązkiem więc jest rodziców poprawiać je i wykorzeniać, a instytut moralnie zaniebdanych dzieci zastępuje w tym razie rodziców, którzy nie mogą albo nie chcą dopełnić swojej powinności.

Owóż rzecz niewątpliwa, że mieszczą się tam nieraz dzieci wielkich zdolności, któreby nietylko na dobrych rzemieślników wyjść mogły, ale przy sprzyjających warunkach daleko ważniejsze w społeczeństwie zdołałyby zająć stanowiska. Bo natura ludzka jest tak utworzoną, że silnie na złe czy dobre wybitne indywidualum, może się nieraz przy umietytnym kierunku na człowieka zdolności i zasługi wykierować. Byliśmy parę razy na egzaminie rocznym w instytucji, i po fizyognomii niektórych chłopców znajdujących się tam, po odpowiedziach ich, mniemaliśmy odgadywać oznaki zdolności.

Nie jesteśmy bliżej wtajemniczeni w działania rady instytutowej, niewiadomo nam więc czy którykolwiek z uczniów tamednych, okazawszy zdolności ku temu, odbierał później staranniejse wychowanie, czy danem było któremu z nich wyższe w społeczeństwie osiągnąć stanowisko, ale zdaje nam się że sama nazwa zakładu jest już ku temu niemałą przeszkodą. Przy przesądzie istniejącym, samo wspomnienie wychowania w tym zakładzie stanowi pewien rodzaj upokorzenia. Otóż to właśnie należałoby usunąć, tak w przekonaniu, wychowanców jak i w wyobrażeniach ogółu, a wiele do tego przyczynić się mogła stosowna zmiana nazwy instytucji. Mniemamy jednak iż nazwa projektowana przez szanownego korespondenta, nie odpowiedziałaby celowi. „*Moralnie poprawić*” można tylko dzieci już zepsute, a zatem jeszcze gorzej jak *zaniedbane*. Jeżeli więc zamiar nieobrażania godności osobistej wychowanców ma być osiągnięty, to wypadałoby zakład ów przemianować raczej na: „*Instytut moralnego wychowania dzieci*.” Szkoła przez to zrównałaby się z innemi i utraciłaby swój poprawczy pozór, zachowując też samą skuteczność w umoralnianiu dzieci.

Pomiędzy licznymi pismami rolniczymi w języku polskim wychodzącymi, *Ziemiańin*, tygodnik rolniczo-przemysłowy, wydawany w Poznaniu pod kierunkiem doktora Józefa Szafarkiewicza, odznacza się starannością redakcyi i skrzętnym zbieraniem praktycznych wiadomości, zgodnych ze specjalnym zakresem pisma. Otóż *Ziemiańin* otrzymał w tych dniach debiut w królestwie polskim i może być prenumerowany na wszystkich stacyach pocztowych.

Wydawnictwo historyi powszechniej w skróconym zarysie Henryka Dittmara, przełożonej i uzupełnionej przez Oskara Stanisławskiego, ukończonem już zostało. Dzieło to zapełnia brak treściwego rysu historyi, jaki u nas dawno czuć się dawał. Książka tego rodzaju użytecznie zająć może miejsce w każdej bibliotece.

Jako wzór polszczyzny przytaczamy napis, jaki czytaliśmy na jednym z omnibusów, ręką za dokładne co do litery onego skopiowanem: „*Od Aley Jeroselmskiej do Plac Krasinski*.” Snadź właściciel tego omnibusu pragnie pomścić się za wyboje w bruku warszawskim, czyniąc wyboje w ortografii polskiej; ale publiczność nasza ukaraćby go powinna za takie lekceważenie języka krajowego, niewiadaniem do jego powozów.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

28 sierpnia.

Zbiorowe zaproszenie wystosowane do króla pruskiego przez monarchów niemieckich, nie odniosło pożądanego skutku. Król Wilhelm odmówił stanowczo. Jednocześnie minister stanu p. Bismarck przesłał dwie

depesze: jedną do barona Werthera, posła pruskiego w Wiedniu, drugą do p. Sydowa, pełnomocnika dworu berlińskiego przy Związku niemieckim. W tej ostatniej minister pruski tak się między innemi odzywa: „Na dziś oświadczam to tylko, że projekta austriackie nie odpowiadają ani stanowisku do jakiego Prusy mają prawo, ani też istotnym potrzebom Niemiec. Prusy wyrzekłyby się stanowiska jakie im dała ich potęga i historia pomiędzy mocarstwami Europy i wystawiłyby się na niebezpieczeństwo, że siły krajowe mogłyby być używane do celów obcych krajowi.” Nie ulega więc wątpliwości, że rząd pruski zdecydował się nie brać stanowczo żadnego udziału w naradach monarchów niemieckich. Z tem wszystkiem narady te odbywają się bez przerwy, pod wpływem usilnych starań Austrii, aby doprowadzić do końca zamierzone dzieło. O ile sądzić można z korespondencyj dzienników niemieckich, najważniejsze kwestye władzy wykonawczej i ciała prawodawczego załatwione już zostały. Konferencya przyjęła projekt austriacki dyrektoryatu związkowego, z tą zmianą, iż władza ta składać się będzie nie z pięciu, lecz z siedmiu członków: trzech stałych, (Austria, Prusy i Bawaria), dwóch kolejno zasiadających (Saksonia, Wirtemberg lub Hanower) i dwóch wybranych przez małe księstwa niemieckie. Zgromadzenie przyjęło także i uchwaliło postanowienie, na mocy którego przyszła izba deputowanych składać się będzie z $\frac{2}{3}$ części członków bezpośrednio wybieranych z ludu niemieckiego i $\frac{1}{3}$ delegowanych różnych sejmów niemieckich. Dziennik Europe podaje wiadomość, że hr. Rechberg w imieniu cesarza austriackiego przesłał związkowym państwom memorał, w którym cesarz oświadcza, iż książęta, dla powodów nader ważnych, powinni się porozumieć co do zasadniczych punktów programu i nie rozjeżdżać się, dopóki nie załatwią pracy wstępnej i zasadniczej. Bądź co bądź, narady frankfurckie, nawet i bez udziału Prus, są wypadkiem niesłychanej wagi. W razie pomyślnego rezultatu, Związek niemiecki, nanowo odrodzony, z władzą centralną posiadającą w swych rękach siłę wykonawczą, stworzyć może w Europie nową, nieistniejącą od lat przeszło pięćdziesięciu potęgę. Jednocześnie ze zgromadzeniem monarchów, odbywają się w Frankfurcie posiedzenia deputowanych Nationalvereinu. Na jednym z tych posiedzeń, komitet sejmowy domagał się przywrócenia bez zmian konstytucyi cesarstwa z r. 1849.

Korespondenci z Turynu zawiadamiają o blizkiej zmianie ministeryalnej we Włoszech. Utrzymują że baron Ricasoli, znany stronnik polityki niezależnej i przymierza ścisłego z Anglią, objąć ma prezesostwo gabinetu. Dzienniki wiedeńskie ze swej strony zapewniają, że lord Palmerston pośredniczy między temi mocarstwami. W razie zręczenia się zaczepnych zamiarów względem Wenecyi, Austria poręczyłaby Włochom status quo, zawarłaby osobny traktat handlowy i oba mocarstwa mogłyby się rozbroić po obudwóch brzegach Mincio. Z Rzymu donoszą, że kardynał Antonelli, nie mogąc podołać księdzu Merode, postanowił podać się do dymisji. Miejsce jego zająć ma kardynał Altieri. Wiadomość ta wymaga potwierdzenia.

Cesarz Napoleon, po odbytych przeglądach wojsk w Chalons, powrócił do Saint-Cloud i udaje się za dni kilka do Biarritz, gdzie zastanie już cesarzową wraz z następcą tronu. Zapewniają że i arcy-książę Maksymilian udać się ma do Biarritz morzem, celem widzenia się z cesarzem Napoleonem i podziękowania za popieranie swej sprawy w Meksyku. Arcy-książę zdecydował się przyjąć obdarowaną sobie koronę, pomimo wszelkich krzyków dziennikarstwa new-yorkskiego, utrzymującego że prezydent Lincoln zaprotestował w Paryżu przeciw wprowadzeniu władzy monarchicznej w Meksyku. W Japonii władza duchowny rozkaż wypędzić wszystkich cudzoziemców, mianowicie Anglików i Francuzów, i zamknąć swe porty. Czyn ten równa się wypowiedzeniu wojny, która zakończyć się może zupełnem zniesieniem władztwa duchownego. Demonstracya przygotowywana w Neapolu na dzień 15 b. m. przeciw Francyi, spelzła na niczem. Władze cywilne i wojskowe zapobiegły zbiegowisku. Zapewniają że cesarz Napoleon przyrzekł Austrii wszelkie poparcie w sprawie reformy związkowej. Kwestya kanału suezkiego ostatecznie załatwioną została przez decyzją sułtańską. Kanał pod gwarancją międzynarodową ogłoszonym będzie jako zupełnie neutralny.

Wiadomości z Ameryki dochodzą do d. 14 b. m. Generał Lee stał między Rapidanem i Rappahanokiem, zamierzając uderzyć na generała Meade z przodu i tyłu jednocześnie. Jazda separatystów zajęła dolinę Shenandoah. Tymczasem prezydent Lincoln, który nie chce dotąd przyjąć dymisji Meada, przemysliwa o ogólnem uzbrojeniu stanów. Generał Grant zastąpić ma w dowództwie naczelnem Meada. (Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constit. France.)

TORUŃ,

URYWEK HISTORYCZNO-OPISOWY.

Stare miasto Toruń, do dziś dnia obronne w odwieczne bramy, wieże i mury, pełne kościołów o krwawionych walkami religijnych stronnictw, zawalone stosami praw i przywilejów krzyżackich, polskich, pruskich, choć dziś upadłe, choć zeszłe, jak wszystkie inne średniowieczne municypia, z widowni politycznej, choć dziś ukryło się przed światem w cichej dolinie, wśród gruzów a pamiątek, komuż jest nieznane?

Jedni byli w niem sami, drudzy o niem słyszeli wielorzeczy od Kłownowicza, Niemcewicza, Praetoriusa i t. d.; inni wiedzą o niem z powodu Kopernika; znów inni napotykają się z jego nazwiskiem przy sławnych piernikach, przy miodzie, piwie i wielu innych smakowicie w niem wyrabianych rzeczach. Słowem, jak o Krakowie, Warszawie i Gdańsku, tak o Toruniu, wszyscy uczeni i nieuczeni lubią prawić, opisywać go i opowiadać co się tam kiedyś przed latami działo.

Idąc tedy i my za innymi, przy dołączeniu kilku widoków Torunia, damy czytelnikom krótkie przypomnienie jego dziejów i zabytków.

Na zasadzie traktatu przez Konrada księcia mazowieckiego z Krzyżakami zawartego, Herman von Salca, w. mistrz zakonu, przysłał r. 1231 z Wenecyi dzielnego komtura Hermana Balka do ziemi chełmińskiej, w celu objęcia i założenia w niej obronnych komandoryj, mających utrzymywać załogi przeciw pogańskim Prusom.

Pierwszy tedy zamek zakłada Balk nad Wisłą i mianuje go Vogelsang'em; lecz że miejsce to nie było dość wygodne i bezpieczne w czasie wojny, przeto komtur krzyżacki przenosi załogę na drugi brzeg Wisły, do polskiej wsi Tarnowa, i w niej zakłada fortecę, a przy niej pierwsze miasto niemieckie.

Nazwane Thornem, po polsku Toruniem, rychło zaludniony się niemieckimi wędrowcami, zyskało przywileje od mistrza krzyżackiego Hanno von Sangershausen d. 13 sierpnia 1264 r., a wkrótce i pieczęcie miejskie, z herbem: 3 bramy, środkowa do połowy otwarta, nad nią anioł opiekuńczy.

Najpiękniejsza epoka dla Torunia rozpoczyna się w połowie XIV wieku, kiedy wzmógł się w ludność, obdarowany przywilejami przez Krzyżaków, królów polskich i węgierskich, staje się punktem pośrednim handlu między temi krajami i przyłącza się do związku hanzeatyckiego.

Upadek zakonu krzyżackiego, złamanego zwycięstwem Jagiełły pod Grunwaldem (d. 15 lipca 1410 r.), pochyla i Toruń z wysokości bogactwa i znaczenia, do stanu średniej ledwie zamożności; a chociaż zawarty w Toruniu 1411 r. pokój, zakończy wojnę między walczącymi stronami, jednakże niezgody w zakonnie powstałe i ucisk jakim on podległ sobie prowincje uciemnia, coraz bardziej skłania miasto do zerwania niewolniczych więzów.

W r. 1440 Toruń, zwiąawszy się w federacyę z innymi miastami i szlachtą pruską, zbiera do siebie jej reprezentantów, wypowiada posłuszeństwo zako-

ku, a pokojem podpisanym w Toruniu (19 października 1466 r.) przez mistrza Ludwika von Erlichshausen, prowincje jego zostają przyłączone do Polski.

Wojny krzyżackie tak już wówczas wyniszczyły Toruń, że pomimo przywilejów, jakie mu królowie polscy nadawali, pomimo że na sejmie piotrkowskim 1472 r. upoważnionym został do nabywania dóbr szlacheckich, nie mógł już powrócić do dawniej swej potęgi, a przy końcu XVI stulecia nie tylko traci na politycznym znaczeniu wolnego miasta, ale wychodzi nawet ze stosunków z północną Hanżą.

D. 10 stycznia 1577 r. Torunianie przyjmują u siebie krzewicieli luteranizmu i obsadzają niemi kościoły Panny Maryi, św. Jakuba, Grzegorza i Katarzyny.

Samowolna ta zmiana religii potwierdzoną zostaje przez Zygmunta III na sejmie grodzieńskim (d. 30 maja 1586 r.), co jednak nie przeszkadza mu do osadzenia w Toruniu jezuitów i objęcia przez nich kościoła św. Jana.

Rada miejska zaprotestowała przeciwko temu zajęciu; lecz jezuita przemogli i rozpoczęli następnie szereg strasznych zaburzeń, kończących się dopiero w XVIII wieku na krwawej rzezi, zwanej toruńską.

Wojna trzydziestoletnia i wojna szwedzka dwoma oblężeniami uderzają na spokojne od czasów krzyżackich miasto. W pierwszym 1629 r. Wrangel feldmarszałek szwedzki, zbombardowawszy Toruń, pali mu najpiękniejsze budowle; w drugim 1656 r. wódz austriacki Monteculi usiłuje wziąć je szturmem, lecz zostaje odparty.

Pięćdziesiąt lat nie mija od tych wypadków, kiedy rozpoczyna się sroga na północy walka. Sasi fortyfikują się w Toruniu 1703 roku, a Szwedzi 26 maja t. r. naciągawszy od Drwęcy, po siedmio-miesięcznym oblężeniu zajmują pozostałą z Torunia kupę gruzów, zmuszając mieszkańców do zapłacenia kontrybucyi milion złp. wynoszącej.

Upadek miasta nie powstrzymał jednak najzawzię-

tych jego nieprzyjaciół, jezuitów. Zatałgi r. 1724 między studentami konwiktów a protestantami przez nich wywołane, dają pochoch do okropnej sceny. Lud rozjątrzony zdobywa kolegium jezuickie i potłuszcza wszystko co w niem zastał, pali zabrane sprzęty i inne ruchomości. O to jezuita zaskarżają miasto, utrzymując że lud porąbał i spalił obrazy świętych. Wyznaczona przez sejm komisya zjeżdża na miejsce i na mocy fałszywych zeznań świadków podstawionych przez jezuitów, skazuje na śmierć prezydenta miasta Rösnera i jedenastu obywateli.

D. 7 grudnia wojsko otacza miasto i strasza egzekucya na nieszczęśliwym Rösnerze i innych dopełnio-



DAWNY ZAMEK W TORUNIU.

nowi, a wypowiada je głosem armat i taranów rozbijających bursie krzyżackie.

D. 6 lutego 1454 r. związek toruński oddaje się pod opiekę królowi polskiemu, a Kazimierz Jagiellończyk łączy do swego państwa ziemię chełmińską, przez co ściąga na siebie wojnę z zakonem. W tymże samym roku Krzyżacy rozpoczynają pożogi i łupieże po Prusach i odnoszą zwycięstwo pod Chojnicami. Lecz szczęście nadługo im nie sprzyja. Polacy, wzmógłszy się w siłę, rozbijają armie niemieckie, oblegają Malborg, i d. 7 czerwca 1457 r. biorą go morderczym szturmem. Odtąd zakon, w serce uderzony, jak martwe ciało trupem się ściele u brzegów Bałty-

na zostaje. Postępek ten w całej niemal Europie wywołał protestacje. Dodać jednak należy iż nigdzie wtedy istotnej tolerancji nie było; w Anglii naprzykład katolików traktowano jak murzynów, a w Norwegii pod miecz oddawano księży katolickich, gdy się w kraju pokazali.

Po skończonej wojnie siedmioletniej Torunianie, straciwszy na sejmie warszawskim (1765 r.) nadzieję uzyskania gwarancji swoich przywilejów, zawiązują d. 19 marca 1767 r. konfederacją dyssydentów. Podział Polski dopiero kładzie koniec toruńskim zaburzeniom.

W 1793 r. Prusacy zajmują Toruń, lecz nie nadługo; wojna bowiem francuska przyłącza go do księstwa warszawskiego. Wytrzymałszy w r. 1813 straszne bombardowanie rosyjskie, po upadku Napoleona I przechodzi znów do Prus. Państwo to zmienia go w fortecę, mianuje miastem powiatowem,—i na tym kończą się nateraz karty jego dziejów.

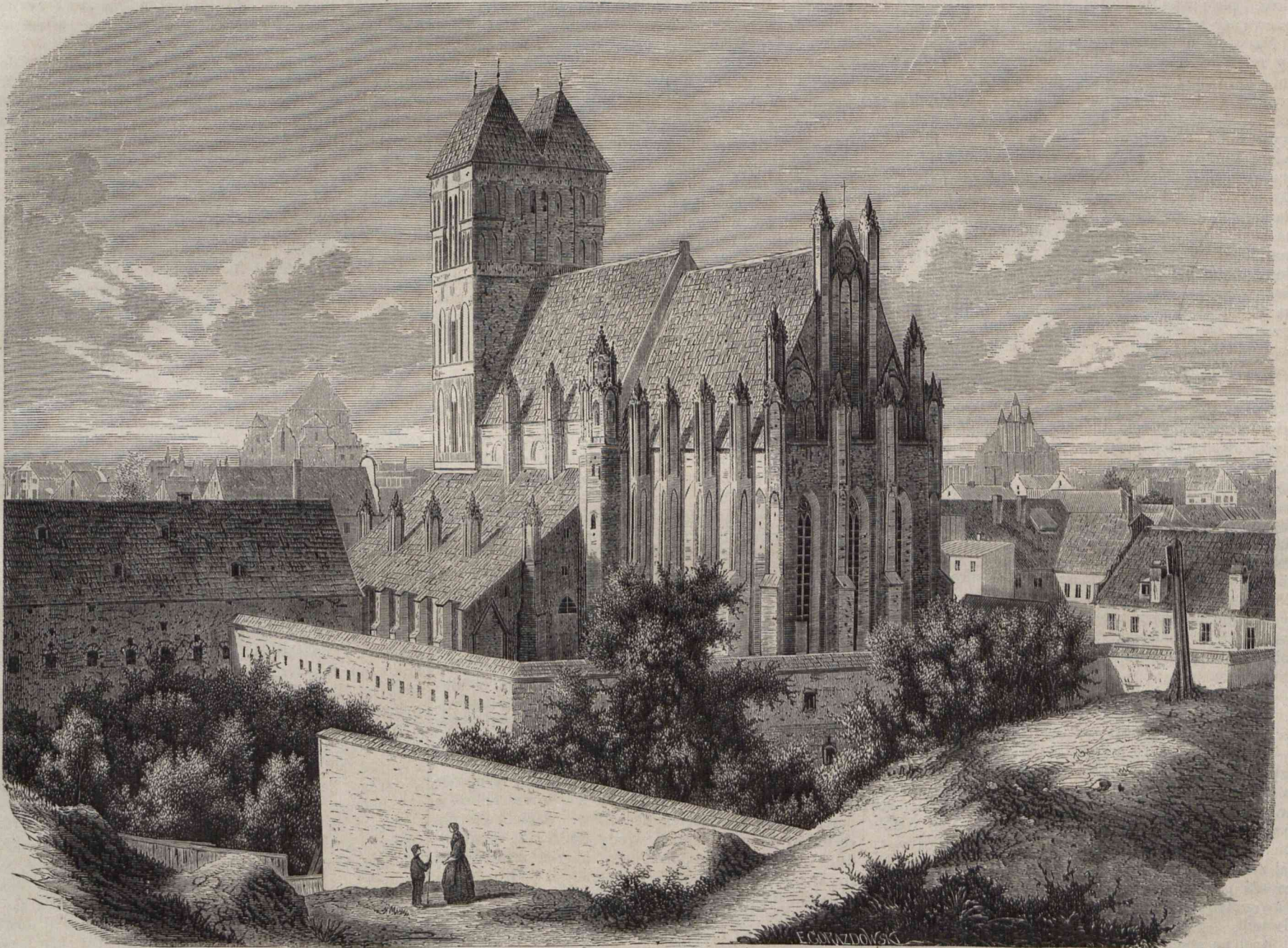
(Dokończenie nastąpi).

w. lit. Wiesiołowskiego, przeciwnicy znaleźli do tego sposobność, gdy szczęściem w drodze może do popełnienia zbrodni stanęła im podkomorzyna koronna Elżbieta ze Słuszków. Przejawszy bilet Radziwiłła, zawiadamiający jej męża o miejscu i czasie spotkania, zatrzymała go; Kazanowski nie stanął i Radziwiłł nie znalazłszy go, powrócił z niczem, a tymczasem wdanie się królewicza Jana Kaźmirza spowodowała zgodę. (Bibl. Ossol. 1863 r.) Jeszcze groźniejszym ze swych skutków mogło być nieporozumienie obu Radziwiłłów z podkanclerzym Gembickim i marszałkiem w. k. Opalińskim, „wszczęte przy przeniesieniu zwłok św. Kaźmirza do nowej kaplicy w katedrze wileńskiej w jesieni 1636 r.“ W wieku wygórowanej prywaty interesa osobiste już brały górę nad sprawami ogółu; zład i w tym przypadku miano rwać sejmy i zaburzyć rzplątą, gdy Władysław IV z właściwym mu taktem zakłął burzę i nie dopuścił „aby ten dym w płomień wybuchnął.“ (Listy Janusza Radziwiłła 309.)

Jeżeli wzmiankowane zajścia przedstawiają nam

protestantkę, córkę Fryderyka palatyna reńskiego, przyczem i Radziwiłł stary miał nadzieję wyszukać dla syna jaką zagraniczną księżniczkę. Gdy jednak zamiar królewski rozbił się o opór senatorów katolików i Władysław IV zawarł związki małżeńskie z arcyksiężniczką Cecylią Renatą, upadł i projekt Radziwiłłów. Na rozkaz ojca książę Janusz pośpieszył do Litwy, aby się porozumieć względem wyboru przyszłej małżonki, i uradził uderzyć o rękę bogatej wojewodzianki Tęczyńskiej, lub księżniczki Anny Wiśniowieckiej, siostry sławnego Jeremiasza. Ale wśród uroczystości z powodu wjazdu i koronacji królowej, przyczem książę Janusz na żądanie króla występował z wielkim przepychem w licznym orszaku, serce jego niespodzianie, wbrew poprzednim rachubom, zwróciło się do Katarzyny Potockiej, córki po Stefanie, pamiętnym z tragicznej wyprawy do Wołoch.

Upoważniony od ojca do pojęcia żony według swego wyboru, książę Janusz pozyskał życzliwość panny i jej matki, Anny z Mohilów Firlejowej, już powtórnie



KOŚCIÓŁ ŚW. JAKUBA W TORUNIU.

Janusz Radziwiłł.

(Dokończenie).

Młody Radziwiłł pałał niecierpliwością połączenia się z ojcem i zasługiwanie się raczej w polu, niż w komorze królewskiej; ale mimo kilkakrotne o to prośby, na wyraźny rozkaz ojca, musiał pozostać przy królu i dalej mieć oko i ucho na to, co się działo przy dworze. Pisuje zatem jak dawniej częste listy do ojca i służy mu za pośrednika i obrońcę u króla; wyjednywa łaski dla przyjaciół i sług Radziwiłłowskich i z tego powodu nieraz różni się z również blizkimi osoby królewskiej i również jak on czatującymi na względy pańskie. Z nieporozumień tych pamiętniejsze z bratem ciotecznym Kaźmirzem Leonem Sapiehą, pisarzem litewskim, tudzież z Adamem Kazanowskim, podkomorzym kor. Z tym drugim już miało przyjść do pojedynku, już, mimo zakaz króla, który lubił obu swoich podkomorznych, i pilne na nich oko marszałka

księcia Janusza dumnym i gwałtownym, to zato jego listy do ojca ukazują jego zdolności, przytomność umysłu, zręczność i chęć służenia ojczyźnie, w bardzo korzystnym świetle. Porywcza to, ale szlachetna, szczerza i otwarta natura. Mimo jego młodość, znać umysł wyższy, głównie zaprzątnięty sprawami ogólnymi, które wyklada żywo, charakterystycznie i ściśle. Styl listów, mimo dość częste mieszanie wyrazów łacińskich, świeży i obrazowy, a co do osnowy bardzo treściwy. Nigdzie owej rozwlekłej, napuszonej, książkowej elokwencji, tak ulubionej wychowawcom szkół jezuickich; lecz naturalna, potoczna z pełności myśli i uczuć płynąca mowa. Do księcia pisują i jego dworzanie kalwini, których styl również czysty, jedyny i bardzo udatny; jeden nawet zręcznie używał formy więrszowej, dowód to że ówczesne szkoły kalwińskie jeszcze nie uległy zepsuciu, jakie ogarnęło zakonne.

Listy Radziwiłła dostarczają także wiele materiału do wyjaśnienia sprawy o pierwszym ożenieniu się królewskim. Z początku pragnął Władysław IV zaślubić

owdowiałej, i do uczynienia formalnego oświadczenia, w nieobecności ojca, uprosił najstarszego w rodzinie księcia Albrychta Radziwiłła kanclerza w. lit.

Kanclerz najchętniej przyrzekł mu swą pomoc, ale gdy razem z nowożeńcem udał się w swaty, panna tak bardzo jemu samemu wpadła w oko, że jako wdowiec postanowił odsadzić synowca. Że jednak podeszłemu już w wieku, 25-letni przystojny i dzielny synowiec był niebezpiecznym współzawodnikiem, książę kanclerz obietnicą zapisu na dożywocie wszystkich swoich bardzo obszernych dóbr i starostw usiłował skusić troskliwość macierzyńską o los niezbyt posażnej córki. Udając więc przez cały wieczór że bardzo gorliwie chodzi w sprawie synowca, prawie zyskał zezwolenie matki, nieumiejącej narazie oprzeć się jego naleganiom. Książę Janusz uważał niezwykle żywienie stryja i dlatego zaraz nazajutrz pośpieszył do niego, prosząc o zakończenie swatów. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy pobożny kanclerz z uroczystą postawą oświadczył, że N. Panna tej nocy pokazała mu

się we śnie i poleciła poślubić pannę Potocką, aby ją ocalić od związku z heretykiem.

Janusz, jako kalwin, nie uwierzył skrupułowi stryja; sam ruszył do matki i panny, od nich do króla i królowej i tyle dolożył starania, że mimo niemniej gorące zabiegi kanclerza, odniósł nad nim zwycięstwo. Po czterech latach szczęśliwego pożycia, stracił tę pierwszą według serca małżonkę, a z czasem, zapewne za wpływem jej matki z rodziny Mohilów, poślubił Annę Mohilańkę, córkę Bazylego zwanego Lupulim, siostrę Domny, wydanej za Tymoteusza Chmielnickiego. Nim jednak z kolei dojdziemy do tych wypadków, powiemy o kłopotach, jakie na Radziwiłłów birzańskich ścigała wzrastająca coraz bardziej niewyrozumiałość religijna.

W 1639 r. kalwini wileńscy, zaufani w potęgę swoich opiekunów Radziwiłłów, wojewody i podkomorzego, w przystępie lekkomyślności, a przedź nie-trzeźwej wesołości, zaczęli strzelać z łuku ze swego zboru do pobliskiego kościoła św. Michała. Kilka strzał utkwili w obrazie znajdującym się na facycie kościoła, parę wpadło nawet wewnątrz i przestraszyło śpiące w chórze zakonnice.

Na wieść o tym zdarzeniu wszczął się nadzwyczajny zgłęb w mieście. Oburzone pospólstwo otoczyło zbor kalwiński i byłoby się dopuściło największego gwałtu, gdyby w czas nadesłana straż wojewodzina nie zapobiegła złemu. Jednak powstało powszechne wyrzekanie, że wojewoda kalwin usiłuje pognać wiarę katolicką, i mimo jego starania, aby tę sprawę załagodzić, biskup wileński Abraham Wojna i duchowieństwo katolickie nie dało się ująć, owszem do wszystkich sejmików rozesłało zażalenie i posłom na sejm wszędzie zapisano w instrukcji, aby się domagali od sejmku najsurowszego ukarania kalwinów. Sejm zebrał się w Warszawie 5 października pod łaską Władysława Kierdeja; książę Janusz posłował na nim z Wołkowyska, ale mimo wszystkie jego usiłowania, na domaganie się posłów litewskich, sejm postanowił ściśle sądzić sprawę zborową i wyznaczyć komisyję śledczą.

Na nieszczenie w toku śledztwa, zmarł kalwin Przypkowski, starszy dworzanin radziwiłłowski i niegdyś ochmistrz księcia Janusza. Wojewoda chciał go uczcić świetnym pogrzebem. Gdy kondukt przeciągał mimo kościoła dominikanów, katolicy sprzeciwili się processyi; wszczęło się zamieszanie i bójka, co jeszcze bardziej powiększyło rozjątrzenie. Nowy sejm rozpoczęty 19 kwietnia 1640 r., chociaż na nim młody Radziwiłł, posłujący z Wilna, i ojciec jego w senacie dokładali największych usiłowań, aby sejmujących skłonić do większej łagodności, wydał surowy dekret 25 maja, mocą którego zbor i szkołę kalwińską w mieście nakazano znieść, z dozwoleńiem odbudowania ich za miastem; ministrów zaś i strzelających miała dotknąć kara śmierci, której uchodząc, zbiegli za granicę.

Krzysztof Radziwiłł, boleśnie dotknięty tym wyrokiem, któremu ani jego wysokie znaczenie, ani zasługi dla rzpltej zapobiedz nie mogły, wpadł w chorobę i wkrótce umarł 20 września 1640 r. Syn, opuściwszy dwór, pośpieszył oddać mu ostatnią posługę; przez rok urządził na Litwie interesa majątkowe, bronił swoich współwyznawców, coraz więcej doznających prześladowań, a wreszcie grzebał zmarłą w Wilnie pierwszą swoją żonę, Katarzynę z Potockich. Złożywszy jej zwłoki w katedrze wileńskiej i powierzwszy pozostałą po niej córkę Maryą opiece swjej siostry Hlebowiczowej, po dwóch latach znowu ukazał się przy dworze.

Król na złagodzenie jego smutku oddał mu kasztelaniją trocką i zostawił spadłe po ojcu starostwa sejmieńskie i bystrzyckie, do których wkrótce przybyło mu jeszcze dwa, mściławskie i retowskie. Tym sposobem przy rozległych dobrach dziedzicznych, starostwie kamienieckim, którego mu jeszcze ojciec odstąpił za łaską królewską i nowo otrzymanych, Janusz Radziwiłł posiadał ogromne dochody, pozwalające mu występować prawie z monarszą okazałością. Przepych wielki rozwinął szczególnie, zaślubiając córkę hospodara wołoskiego 1645 r., a potem uczestnicząc w przyjęciu drugiej żony Władysława IV przy wjeździe do Warszawy, podejmując towarzyszącą jej marszałkową de Guebriant i będących przy posłowej Francuzów. Jeden z nich Laboureur, którego ciekawe o tym czasie zapiski wydrukował Niemcewicz w swym Zbiorze pamiętników o dawniej Polsce, nie może się odchwalić bogactwa, okazałości, wytwornego smaku i delikatności w obejściu, tudzież zręczności w tańcu, biegłości w mowie francuzkiej i hojności w darach księcia Janusza.

Te wysokie przymioty wytwornej dworkości i iszczęra przychylność dla króla, miały wkrótce nagrodzić się Radziwiłłowi nową znakomitą łaską. Władysław

IV, chcąc stale ubezpieczyć południowo-wschodnią granicę, pragnął wojny z Turcją. Wsparty w swoim zamiarze obietnicami papieża i Wenecyan, tudzież znacznym posagiem Maryi Ludwiki, dającym możność rozbicia zaciągów, król szczerze zaczął myśleć o wojnie i podniecał do niej Kozaków, którzy swemi napadami na Turcję mieli wywołać jej odwet i tym sposobem wplątać rzplitą w wojnę, której sobie wcale nie życzyła. Aby robić zaciągi, potrzeba było wtajemniczyć do tej sprawy i pozyskać dla niej przynajmniej hetmanów. Koniecpolski h. w. kor. razem z kanclerzem Ossolińskim podzielał widoki króla. Chcąc mieć po sobie i litewskich, król oddał buławę wielką Januszowi Kiszce, pełną zaś Januszowi Radziwiłłowi 27 kwietnia 1646 r. Ponieważ hetman w. Kiszka, dla podeszłego wieku i wątłego zdrowia, był prawie bezczynnym, więc cała praca zbierania wojska spadała na Radziwiłła, którego zyczliwości król był pewien. Ale Radziwiłł ocenił trafnie, jak niebezpieczna to była robota popierać zamiary króla wbrew rzplitej, i dlatego, mimo całe swoje przywiązanie do osoby królewskiej i wdzięczność za tyle łask, usunął się, wyjeżdżając do swego teścia do Soczawy. Hetman wielki lit., jak przewidziano, został bezczynny, a oddany mu do pomocy wojewoda mściławski Abramowicz, otwarcie się wymówił od zbierania wojska.

Rzplita na widok zaciągów i zmów z Kozakami, których celu nie pojmowała, zatrwożyła się o swoje przyszłość. Kruszono główny filar jej swobód, bo stanowiono o niej bez niej; zebrała się więc na sejm 25 października 1646 r. i zmusiła króla do zwinienia zebrań chorągwi, tudzież że zobowiązał się na przyszłość nie wypowiadać wojny, ani zawierać przymierza, bez jej zezwolenia. Podczas tego sejmku Janusz Radziwiłł trzymał z ogółem szlachty, tak pod względem niedopuszczenia uzbrojeń, jakoteż co do ustąpienia Moskwie Trubecka, podczas rozgraniczenia obu państw.

Mimo stały opór przeciw królowi w dwóch powyższych sprawach, nie stracił jednak łaski i osobliwych względów Władysława IV. Łączyła ich wzajemna sympatya, podtrzymywana ustawiczną żarliwością księcia do usług królewskich. Gdy król 9 sierpnia 1647 r. stracił jedynego syna Zygmunta Kaźmierz i szukając rozrywkę w swej boleści, przybył do Litwy: Radziwiłł zabawiał go łowami, podejmując wspólnie. W następnym roku zjechali do Litwy oboje królestwo, razem z posłem francuzkim, któremu król chciał pokazać obszerność i bogactwo swych państw. Podczas uroczystego wjazdu do Wilna, książę Radziwiłł towarzyszył z nadzwyczaj licznym orszakiem przyjaźni, dworzan, wojska nadwornego i mnóstwem karet. Poseł francuzki był zachwycony bogactwem i wspaniałością drugiej stolicy, a król bardzo wdzięczny Radziwiłłowi, że się do tego najwięcej przyłożył. Korzystając ze sposobności, król pragnął pogodzić Radziwiłła z Sapiehami, którzy oddawna z nim w niezgodzie, teraz zadali mu nową śmiertelną obrazę, zaślubiwszy bez jego pozwolenia z jednym z Sapiehów bogatą siostrzenicę księcia, Hlebowiczównę. Panna została pod opieką Radziwiłła razem z obszerne swemi dobrami, sprawa zatem była trudna, bo oprócz interesów osobistych, chodziło w niej o zrzeczenie się przed czasem znacznych dochodów. Sapiehowie nie chcieli w niczem ustąpić; wtedy Radziwiłł, kiedyindziej nieugięty w uporze, dla miłości królewskiej zrzekł się wszelkich swoich pretensyj, z podziwieniem wszystkich, a nawet samych jego przeciwników. Jak łatwo sobie wyobrazić, mocno tym zobowiązał sobie króla, którego daleko przeprowadziwszy za Wilno, zegnał ze szczególnym tęsknieniem przeczuciem, bo już nie mieli się widzieć. Władysław IV w tym powrocie do Krakowa umarł w Mereczu 20 Maja 1648 r., a Radziwiłł z jego śmiercią, chociaż odkrył się najlepszą swoją sławą i dosięgnął najwyższych zaszczytów, jednak źle oceniany przez szkiele jezuitów, ex-kardynała, jatrzone ciągłymi a bezzasadnymi podejrzeniami, narażony umyślnie na obrazy, zapomniał się wreszcie przy swojej gwałtownej choć szlachetnej naturze, gdy nazbyt trudne okoliczności wystawiły jego charakter na ciężką próbę.

Kiedy Władysław IV odprawiał ostatnią swoją podróż z Litwy, Kozacy pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, zniósłszy oddział Stefana Potockiego przy jeziorze Żółtych wodach, rozsiekawszy działającego przeciw nim nakaznego atamana Barabasa, rozbiwszy obu hetmanów koronnych pod Korsunem i wzięwszy ich do niewoli, przeraższy i ogłociwszy strojną szlachtę pod Pilawcami, po każdym nowem powodzeniu zwiększając się przybywającym do nich chłopstwem, jak straszna lawa toczyli się aż pod Lwów i Zamość, gotowi zalać rzplitą. Inne oddziały pod Głowackim, Hładkim, Krzywoszapką, Orkuszą, Podobajką rozbiegły

się po wielkiem księstwie, łupiąc je, pustosząc, paląc aż pod Rohaczew, Mohylów, Słuck, Pińsk.

W tak trudnym razie Janusz Radziwiłł stał się zbawcą ojczyzny przez swoją niezmordowaną czynność i poświęcenie. Jego starszy chorowity kolega bawił się więcej łózkami niż buławą, wojsko litewskie było niekompletne; książę Janusz najenergiczniej je zbierał i pomnażał, a tymczasem, nim się ściągnąć mogło, wyprawił świeżo własnym nakładem utworzone chorągwie, skłonił niektórych panów, jak: Paca, Wołłowicza, kniazia Horskiego, do przyłączenia swoich nadwornych i temi siłami narazie powstrzymał powódz kozacką. Następnie nadejdnawszy z pułkami hetmańskimi, odebrał pozajmowane miasta, stłumił powstanie i ubezpieczył granicę. Wśród upadłego ducha w kraju i powszechnego popłochu, on jeden stał groźnie. Ztąd też sejm elekcyjny, zwołany na dzień 6 października, nie śmiać zbierać się prawie obok obozów kozackich, wezwał Radziwiłła, aby z wojskiem swoim przybył osłonić jego obrady. Radziwiłł, zostawiając w miasteczkach pogranicznych załogi, przyciągnął ze znacznym oddziałem pod Warszawę, i w tej chwili znaczenie i powaga jego świeciły w całym blasku.

Obrawszy króla, stany radziły nad środkami do odwrócenia groźnego niebezpieczeństwa. Radziwiłł był jednym z tych, co pragnęli wziąć się szybko i energicznie do dzieła; w tym celu skłaniał sejm do powiększenia wojska, obmyślenia dlań zółdu, a w razie potrzeby do zwołania pospolitego ruszenia. Ale rzplita, już od tak dawna używając wczasu, nabrawszy takiego wstrętu do wojny, nie mogła się na nią zdecydować szczerze, nawet w obec nieuniknionej konieczności. Podnieśli głosy odlegli od niebezpieczeństwa Wielkopolanie, tudzież Litwini zawistni lub niechętni Radziwiłłowi i miarkowali za pał wojenny, wystawiając jak niebezpieczną jest rzeczą zanadto wiele władzy i środków oddawać w ręce hetmanów. Ztąd to, chociaż uchwalono powiększenie wojska w Koronie, lecz oddano nad niem dowództwo nie Wiśniowieckiemu, który wysłużył je sobie nadzwyczajną walecznością i poświęceniem, tylko trzem nieświadomym rzeczy regimentarzom. Za tem poszły oplakane następstwa w spotkaniach pod Zbarazem i Zborowem.

Co się tyczy Litwy, Radziwiłł powrócił tam śpiesznie i słuchając raczej głosu potrzeby i własnego uznania, popierał działania wojenne nadzwyczaj energicznie. Uzupełniwszy według możliwości swoje wojsko, pod Noblem połączył się ze strażnikiem lit. Mirskim i podstąpił pod Turów. Kozacy, nie czekając spotkania, pod dowództwem pułkownika Michenki, co najspieszniej cofnęli się do Mozyru i otrzymawszy posiłki, postanowili tam bronić się do upadłego. Radziwiłł znacznym oddziałem Pawłowicza odciał im odwrót i opasawszy miasto, szturmował je przez kilka dni. Bez względu na najzaciętszy opór, Mozyr zdobyty, Michenka ścięty, Kozacy po większej części polegli, reszta rozproszywszy się, rozniosła postrach. Z równą zaciętością bronił się w Bobrujsku pułkownik kozacki Padubiez, lecz przemożony został; i z nim również, jak z głównymi współnikami, hetman obszedł się srogo. Zastraszone tém miasta okoliczne, poddały się; ludność wiejska nie śmiała się ruszać.

Kłeski na Litwie, tudzież wiadomość o obraniu nowego króla, skłoniły Chmielnickiego do spróbowania układów z rzplitą; przyczem pragnął wykazać, że on wojuje tylko z Koroną, z Litwą zaś, osobliwie z Radziwiłłem, pragnie żyć w zgodzie. To mogło posłużyć nieprzyjaciółom księcia, że już wtedy udali przed królem, iż hetman sięga wyżej, niż przystało obywatelowi. Jan Kaźmirz nieszczęśliwym losem odziedziczył po ojcu wielką podejrliwość, brak taktu w wyborze ludzi i postępowaniu z nimi, tudzież powolność jezuitów; w skutek czego wielka jego waleczność osobista, energia i z początku najlepsze chęci dla kraju nie przyniosły odpowiedniego pożytku. Poróżnił się z ludźmi, najniestosowniej dobierającymi, i naraził kraj na niepowetowane kłeski. Jego nietaktowność zgubiła dla ojczyzny i potomności Janusza Radziwiłła. W tym względzie przyjmuję zdanie Rudawskiego, który zbyt ciężko i bez miary obwiniając Radziwiłła, nakoniec powiada: (wydanie Wolfa w Petersburgu. 41—76) „A jednak byłby to człowiek do wielkich rzeczy zdolny, gdyby nie postępowanie królewskie.“

Zrobiliśmy ten ustęp ogólniejszym, bo już w tym czasie pokazał się pierwszy objaw niechęci między królem i hetmanem. Odezwanie się Chmielnickiego o Radziwiłła, jego stosunki z księciem siedmogrodzkim, który dopomógł mu do ożenienia się z córką Mohilów, wreszcie samo to ożenienie poniekąd słusznie mogły obudzić podejrzenie. Przepych dziwił, ale też i nieprzyjemnie raził bracię szlachtę; sława zaś i energia w bitwach podniecała zawiść możnych, którzy zdala od

pola bitew intrygując przy królu, odwracali jego serce od Radziwiłła.

Mimo oświadczeń Chmielnickiego, hetman lit. nie wierzył w ich szczerość i zgodnie ze swym zdaniem wyrażonym niedługo na sejmie, sądził wciąż, iż Chmielnickiego należy pokonywać orężem, a nie obietnicami. Stosownie do tego, będąc pewnym przedkij wojny, nie tylko w czasie rozejmu nie rozpuścił swego wojska, ale owszem troskliwie je powiększył. Pragnąc pokoju prywatnego i król podejrzewał w tym postępowaniu hetmana jakieś tajemne, osobiste zamiary i chociaż wkrótce okazało się, że dalsza wojna była nieunikniona, król nie dowierzał i aby osłabić hetmana, chciał aby przysłał do jego boku połowę swego wojska.

Radziwiłł, zostawiony sam sobie, mając również szeroką granicę do bronienia, czuł iż podział i tak za szczupłych jego sił będzie zgubnym dla Litwy; dlatego skłoniwszy na swoje stronę senatorów, uprosił króla, że się obszedł bez posiłków litewskich. Podejrzenie jednak zostało w sercu królewskim i odtąd każdy postęp Radziwiłła sądono krzywo, często całkiem naodwrot. Tak jeszcze przed rozpoczęciem kroków wojennych, wojsko lit. nie otrzymawszy żołdu, chciało zawiązać konfederację, a gdy hetman uspokoił je obietnicą wypłaty z własnej skarbni, niechętni mówili, że je pierwsi umyślnie podburzył.

Musiła boleć hetmana taka nieżyczliwość, jednak na widok niebezpieczeństwa nie zważał na nią i pamiętał tylko o swojej powinności; ścigał wojsko, zapatrzył je w żywność i potrzeby wojenne, wzmocnił załogi po miastach; z włościan przychylonych Polsce utworzył osobny oddział, oddawszy nad nim dowództwo Ołtosze Szeńczenkowi, wójtowi włości jakimowskiej, który wyświadczyl pewne usługi w bitwach z Kozakami.

Gdy Chmielnicki z Tatarami ruszył pod Beresteczko, dwa znaczne oddziały, pod dowództwem Podobajły i Krzyżewskiego, miały wkroczyć na Litwę, aby niedopuszczając Radziwiłła do zajęcia tyłu głównym siłom. Podobajło we 12,000 opanował Łojów, broniąc przeprawy przez Dniepr, Krzyżewski zaś z 30,000 miał zejść z boku i otoczyć o połowę mniejsze wojsko litewskie. Opuszczając szczegóły świetnego zwycięstwa pod Łojowem, powiemy tylko, że Radziwiłł osobiłszą przecznością i trafnymi rozporządzeniami, z kolei uderzając na oba oddziały, zadał im najzupełniejszą klęskę. Podobajło, straciwszy 3,000 w zabitych i cały swój sprzęt obozowy, pierzchnął ku Czernichowu; Krzyżewski po całodziennym morderczym bitwie stracił 7000 w poległych i bardzo wielu rannych, między którymi on sam śmiertelnie, tak iż wkrótce życia dokonał. Przerazeni Kozacy w nocy ratowali się ucieczką, zostawiając obóz, działa i 50 chorągwi, które potem zawieszono w kościele św. Jana w Warszawie.

Zwycięstwo pod Łojowem, odniesione 31 lipca 1649 r., przyniosło się najskuteczniej do wyswobodzenia obłożonych pod Zborowem i Zbarazem; bo Chmielnicki, dowiedziawszy się o swych ciężkich klęskach i lekając się aby zwyciężkie wojsko litewskie nie zabrało mu tyłu, zawarł traktat na łagodnych warunkach. Książę Janusz, zawiadomiony przez posła kozackiego o zawarciu pokoju, cofnął się w granice w. księstwa i rozstawił swoje wojsko tak, aby jak najmniej było uciążliwym dla obywateli. Później jednak na sejm otwarty w Warszawie 22 listopada. Jako miłośnik przepychu, odbył 16 grudnia uroczysty wjazd do stolicy, wiodąc przed sobą mnóstwo znakomitych jeńców kozackich. Złożył zdobyte chorągwie i na sejmie uczynił relację z wojny kozackiej. Stany szczerze mu dziękowały i w nagrodę trudów i kosztów nadały prawem dziedzictwa obszerne dobra białoruskie Nowel i Siebież, do których jeszcze królowa wyjednała mu starostwo boryowskie. Radziwiłł stanął u szczytu swojej pomysłowości i zdawało się że dwór całkiem zapomniał swoich podejrzeń, że zawiść umilkła, zwyciężona dzielnością i szczęściem swego przeciwnika.

Gdy Chmielnicki zerwał ugodę zborowską, znowu rozpoczęły się działania wojenne w Koronie pod dowództwem samego króla, zakończone świetnym lecz bezużytecznym zwycięstwem pod Beresteczkiem 30 maja 1651 r., w Litwie zaś pod kierunkiem Radziwiłła. Wojsko litewskie, stojąc na zniszczonym pograniczu, wiele cierpiało od głodu i zimna; żołd zalegał, ztąd niechęć. Radziwiłł skłonił starszego hetmana, aby uniwersalami ożywił gorliwość szlachty, sam zaś szybko obwarowywał miasta Bobrujsk, Bychów, Kopyś; sprowadzał żywność, amunicję, bajdaki do przepraw, tak iż wkraczających Kozaków pod Niebabą, Kostyrenką i t. p., przyjął z całą gotowością. Kluczem do Litwy od Ukrainy było miasto Łojów nad Dnieprem, dlatego znowu tutaj przyszło do spotkania,

które dzięki zręcznym rozporządzeniom księcia Janusza, skończyło się najzupełniejszym zwycięstwem dla Litwinów. Naczelną wodzą Niebabą, pułkownicy Półtorakożucha, Krawczenko, Kapusta i wielu innych legli trupem; 15 dział, kilkanaście chorągwi i cały sprzęt obozowy wpadł w ręce zwycięzców, który szybko idąc w trop za uciekającymi, zajmował miasta po drodze, a wreszcie nagle ukazał się pod murami Kijowa.

Nie dając czasu nieprzyjacielowi do ochłonięcia z przestachu i przekonania się o niewielkiej liczbie wojska lit., które nie przechodziło 11,000, Radziwiłł natychmiast rozstawił oddziałami swoje siły i nazajutrz 4 sierpnia 1651 r. o świcie wystrzelał z dział dał hasło do szturm. Kozacy, nie stawiając żadnego oporu, pierzchli w stępy, a miasto poddało się, wysławszy metropolitę Sylwestra Kossowa, przychylnego Polsce, ze starszym duchowieństwem i magistratem, błagać o oszczędzenie od rabunku. Hetman obszedł się z miastem łagodnie, wyprawione przeciw sobie świeże oddziały Chmielnickiego rozgromił i 4 września szczęśliwie złączył się z wojskiem koronnym. Ta stanowczość w działaniu, uwieczona ciąglem powodzeniem, najwięcej się przyczyniła do zawarcia z Chmielnickim ugody w Białejcerkwi, mocą której przeprosił hetmanów i zobowiązał się nie podnosić nigdy ręki na Polskę, nie trzymać Kozaków rejestrowych więcej nad 20,000, zerwać z Tatarami i t. d. Radziwiłł znowu zadał na sejmie sprawę z powodzeń oręża polskiego i znowu otrzymał podziękowanie od stanów.

Wkrótce jednak po tych tryumfach i zaszczytach, król, chociaż ubocznie, ale bardzo boleśnie, dotknął ks. Janusza, wypędzając z posiadłości teścia jego, hospodara Mohilę.

Mohiła był wiernym lennikiem Polski i nawet otrzymał indygenat; przez związki powinowactwa z Radziwiłłem, jeszcze więcej zbliżył się do Polski, ale potem zmuszony wydać drugą córkę za Tymoszkę Chmielnickiego, wbrew swej woli wszedł w stosunki z Kozakami. To go uczyniło podejrzanym u Jana Kazimierza i jego rady. Gdy następnie Mohiła, uciśniony od zawistnego księcia siedmiogrodzkiego, wezwał pomocy Kozaków, to jakoby dopełniło miarki jego winy, chociaż z nimi nie wchodził w żadne zmywy przeciw Polsce. Król posłał znaczny oddział swego wojska, które razem z Siedmiogrodzianami wyгнаło hospodara i dopomogło zachwycić jego skarby i żonę z synem. Było to niesprawiedliwe i niepolityczne, bo naraził Polskę, i bez tego zagrożoną wojną moskiewską i szwedzką, na nową z Turkiem, jako Janusz Radziwiłł trafnie wykazuje w liście swym z d. 10 października 1653 r. (Kotlubaj, Żywot J. Radziwiłła 393). Za pomoc przeciw Mohile król miał otrzymać wzajem posiłki siedmiogrodzkie przeciw Kozakom; ale te były szczupłe i wkrótce odszedłszy, zostawiły króla w trudnym razie. Otoczony pod Żwanicem, zaledwie się wy dostał, podobnymże sposobem jak niedługo pod Zborowem.

Chmielnicki, chociaż w ciągu kilku lat nieraz zadał bardzo dotkliwie klęski Polakom, czuł jednak, że własnymi siłami nie zdoła się utrzymać i dlatego w końcu 1653 r. poddał się carowi Aleksemu, który przysłał swoich bojarów, aby Kozaczyznę objęli w jego posiadanie i odebrali od niej przysięgę, poczem ogłosił się jej opiekunem i wypowiedział wojnę rzplitej. Trzy wielkie wojska, wynoszące według Bantysza Kamińskiego do 315,000, posunęły się ku jej granicom, mając zamiar przejść je w różnych miejscach.

Wobec tak groźnego niebezpieczeństwa, dwa razy zbierany sejm w marcu i lipcu schodził na sporach o rozdanie wakujących buław, gdy król nieufny, podejrzliwy, bez stałego zdania, pod różnemi chwiejając się wpływami, wciąż odwleczł. Wreszcie zdecydował się oddać buławę wielką lit. Januszowi Radziwiłłowi, już od 31 marca 1653 wojewodzie wileńskiemu; połą zaś podskarbiem lit. Gasięwskiemu. Kochowski powiada że Radziwiłł „przyjął ją jakby niechęcią, bo nie wtenczas król dał, kiedy o nią prosił.“ W tej niechęci nie było nic zdrożnego, owszem była ona słuszną, bo po tylu świetnych czynach wojennych, tyłu hołdach publicznych, mógłże król wahać się w wyborze osoby, tembardziej że według zwyczaju buława wielka prawie zawsze dostawała się hetmanowi polnemu?

Ustąpiwszy zwyczajowi i opinii, król chciał przynajmniej zmniejszyć swój dar i przez szczególną nietaktowność, wtedy kiedy władzę hetmana prawie należało powiększyć, ograniczył ją, przydając Radziwiłłowi dwóch komisarzy do rady wojennej, tudzież współzawodnika w osobie nieprzyjawnym mu hetmanie polnym Gasięwskim. Gasięwski, człowiek dzielny i zany, oddawna, słusznie czy nie, był wielkim przeciwnikiem Radziwiłła. „Śmiertelnie się nawzajem nienawidzili.“ Nienawisć, jako namiętność grzeszna, zdolna jest obłąkać i najzaciejszego człowieka; ztąd Gasięwski jako podskarbi wielki lit. nieraz pokazał dumnemu magnatowi, „że może mu zaszkodzić, gdy się na to usadzi, więc onemu jako mógł się opponować“ (Kochowski wydanie 2gie podług Raczynskiego, 1859 1—176); zwałęk wypłaty dla wojska, z zanadto szczupłymi oddziałami przychodził w pomoc i przez to narażał na szwank sławę swego nieprzyjaciela „co go całe posponował“, a oba szkodzili ojczyźnie. Ztąd to błędnie sądzą ci, co wynosząc Gasięwskiego, całą winę klęsk zwałają na Radziwiłła. Z pilnego porównania Kochowskiego i Rudawskiego z okolicznościami tudzież charakterem Radziwiłła, widoczna jest rzecz, iż obadwaj hetmani muszą przyjąć na siebie odpowiedzialność za nieszczęsne skutki ich prywaty; a jeszcze bardziej winą spada na króla, co rozmyślnie dał im sposobność szkodenia sobie.

Przy zgubnem ociąganiu się króla z rozdaniem buław, współzawodnictwie hetmanów, opieszałości ogólnej w dostarczaniu pieniędzy i niewielkiej ochocie szlachty do wojny, wojsko litewskie zbierało się powoli i zanadto późno. Już car Aleksey w 80,000 wojska, 20,000 Kozaków pod dowództwem Złotareńki i znaczną liczbą Kalmuków stanął pod Smoleńskiem, gdy Radziwiłł zaledwie zebrał 8,000. Z taką garstką niepodobna było się oprzeć potęgze carskiej. Nie tracąc jednak ducha, wysłał trzytysięczny oddział pod dowództwem dzielnego pułkownika Ganchoffa pod Orszę, dla rozpoznania sił stojącego tam nieprzyjaciela. Ponieważ to było 25 czerwca, nazajutrz po święcie obóz spał nieopatrznie i podjazd, napadłszy nań niespodzianie o samym świcie, sprawił wielką rzeź. W kilku mniejszych spotkaniach poszło Litwinom również pomyślnie; jednak czekając napadli, Radziwiłł odstąpił pod Szklów. Ztąd robił wycieczki, niszcząc przeciwnika przynajmniej częściowo. W czasie jednej z nich cały 40 tysięczny oddział nieprzyjacielski wystąpił na linię bojową i hetman przyjął bitwę, która trwając cały dzień, zakończyła się dla Litwy najzupełniejszym zwycięstwem. Radziwiłł dołożył największych usiłowań, wszędzie był i walczył jak żołnierz. Trzy konie pod nim zabito i dopiero w nocy wrócił do obozu.

Następnych dni przyprowadził mu hetman polny posiłki, ale tylko 4,000 jazdy. Nie mogąc z tak szczupłymi siłami nie przedsięwziąć, cofnął się ku Holowczynowi i Białyniczom. Gdy był pod Szepielowcami 24 lipca, nieprzyjacieli w bród przeszedł Dniepr i zająwszy tył wojsku lit., zmusił je do bitwy. Współcześni narzekają na Radziwiłła, że uzuchwalony dotychczasowemu zwycięstwu, przyjął ją. Ależ Żółkiewski pod Kłuszynem we 3,000 rozgromił 80,000, w liczbie których było 5,000 zaciężnych Szwedów. Radziwiłł uderzył i złamał pierwszą linię, lecz otoczony oddwoh innych, poniósł najzupełniejszą klęskę. Najdzielniejsi jego oficerowie polegli; on sam, walcząc najzacieciej, poznawany po stroju, dwukrotnie już byłby ginął, tylko raz śmiercią swoją uratował go waleczny oficer Greffenberg, a drugi raz Juskiewicz. „Pięć do sześciu tysięcy tylko miałem komunika, pisał potem Radziwiłł, a ich było 83,000.... Armata jednak ocalała. Wozy czeladzi wyrabowawszy, wypręglą z nich konie i uciekła.... Tak to bywa: bitem się, przegrale, zwyciężna to rzecz; nie uciekałem jako pod Pilawcami, a nim się okupił jak pod Zborowem.... a że da Bóg jeszcze oddać za swoje, mam mocną nadzieję“... Piszcie otwarcie, jak człowiek co się znał na swojej wartości.

Mimo przegranej i rozsypki, zebrał swoje wojsko nad Berezyną, pobił kilka mniejszych oddziałów, lecz zamale mając siły, nie ważniejszego przedsięwziąć nie mógł. Miasta poddały się jedno za drugim, nawet Smoleńsk, nieudolnością Obuchowicza. Gdy wieść o klęskach na Litwie doszła do Warszawy, król pośpieszył do Grodna, aby pogodzić hetmanów i zwołać pospolite ruszenie. Wydane wici niewiele zwabiły do szeregów, i król odjechał do Warszawy. Jeżeli królowi tak trudno było poruszyć opieszałe rycerstwo, to dla czegoż winić hetmana? A jednak zewsząd nań posypały się obwinienia, nawet prymas napisał do niego poważny list z upomnieniem. Odpowiedź Radziwiłła obszerna i gruntowna na ten list, wiele wyjaśnia i pokazuje, że położenie hetmana było tak trudne, iż przy energicznym jego charakterze mógł z niego wyjść czystym tylko sposobem cecorskim. „Kłęski moje, powiada, winą tych co nas wydali na jatki.“

Przy większej żarliwości ogólnej do ocalenia ojczyzny, jeszcze można było złe naprawić, bo przeciwnik u siebie trapiiony zarzą, działał opieszałe. Lecz chętnych do poświęceń nie było. Król, jak widzieliśmy, nie nie sprawiwszy, opuścił ręce; panowie litewscy wiedli między sobą spory i wojsko hetmańskie wcale się nie powiększało. Radziwiłł, zwątpiwszy o ocaleniu, „gryzł się sam w sobie“, chorował, może wskutek walki wewnętrznej, a wreszcie zaczął zmawiać się

(Dodatek.)

się ztąd nie wydała i nie knuł dalszych przeciwko krajowi zamachów, popełniając trudne do uwierzenia szaleństwa.

Po ścięciu Samuela Zborowskiego w Krakowie, dobra i zamek Krupe, przeszły na własność córki jego Kunegundy, która była za Hieronimem Gnoińskim. Syu jej Samuel, gorliwy arianin i nieodrodny wnuk swego dziada, w czasie wojen szwedzkich za panowania Jana Kazimierza, trzymał stronę Karola Gustawa i z tej przyczyny przez wojska królewskie we własnym zamku był oblegany, który w końcu zdobyty szturmem, znacznie uszkodzony został. Wkrótce potem wynikły pożar, nadwreżył tak dalece tę budowlę, że już w roku 1665 w wielu miejscach była zniszczoną, a nawet dachy miała słomą pokryte. Naprawili te uszkodzenia następni po Gnoińskim posiadacze, Rejowie, potem Buczaccy i na koniec znowu Rejowie, i przyprowadzili go do należytego stanu; lecz kiedy w r. 1794 zamek uległ nowemu spaleniu, odtąd przestał być mieszkalnym i już się potem z ruiny wydzwignąć nie mógł.

Był to gmach jeden z najznakomitszych w kraju i szczególny w swoim rodzaju. Miał postać czworokąta; mur obwodowy wysoki był na łokci 20, a grubość łokci 3; długość zamku od wschodu na zachód trzymała łokci 190, szerokość łokci 160. Oprócz pałacu mieszkalnego, obejmował siedm baszt obronnych, to jest cztery w narożnikach, a trzy w pośrodku. Na kopułach tych baszt mieściły się kamienne tarcze, a na tych wyłobiony herb Zborowskich, Jastrzębiec. W jednej z baszt od południa brama ciasna i wsunięta we framugę, głównym była wejściem do zamku. Styl tej budowli starowłoski, wszystkie dachy były kryte, a wszystkie mury pięknie z cegły wyrobionej koronką u góry zakończono. Głównym materiałem w tym gmachu jest kamień biały opoczysty, cegła zaś stanowi tylko zewnętrzną powłokę murów. Otaczała go dokoła woda sprowadzana z pobliskiego stawu kanałem, na którym rzucony most, w potrzebie zwodzić się dający; do bramy zamkowej prowadzi.

Wchodzącemu na obszerny dziedziniec, dawał się widzieć w rogu północno-zachodnim pałac z tego samego materiału wystawiony, okazały i wysoki, który miał także mały dziedziniec obmurowany. Oprócz lochów głębokich i suchych, były tam ciemne mieszkania, dół i piętro obwiedzione wspomnianym kanałem. Brama na facyacie miała napis łaciński, którego dziś niema śladu.

Prócz mnóstwa pokoi w pałacu, były wewnątrz na wielkim dziedzińcu pomieszkania z lochami, przyciepione do muru obwodowego, w koło którego istniały ganki drewniane, na stawianie dział w strzelnicach w tym celu umyślnie urządzonych. Nakoniec na murze obwodowym był wyrity rok 1608, oznaczający zapewne pierwszą jego restaurację.

Dzisiaj zachodnia tylko strona zamku krupskiego ma dochowane mury w całości; od wschodu zupełnie, od północy i południa w znacznej części ich brakuje. Z ziemiu baszt podobnie jedna tylko jest cała, pałac zaś mieszkalny coraz bardziej w gruzi się wali.

Ruina zamku tego równie pod względem obszerności, jak starożytności swojej jest ciekawą, a nade wszystko ważną pod względem szczegółów budownictwa, jakie dochowała na sobie. Dla malarza stanowi ona jeden z celniejszych krajobrazów królestwa, przedstawiając oku czarowną mieszaninę martwych, ponurych głazów, a obok tego zielonej łąki wśród nich i na samych nawet gzymsach roślinność. Godne są przeto ze wszech miar najtroskliwszego zachowania. Dzisiejszy też dziedziniec nie tylko murów jaką taką całość tworzących nie psuje ani rozbięta, lecz owszem część zabudowań gospodarskich przy nich w pośrodku umieścił, aby stojąc w pewnym względzie potrzebnymi, tym chętniej były ochraniane.

Przegląd piśmienniczy.

Historia cywilizacji w Anglii, przez Henryka Tomasza Buckla. Według drugiego wydania oryginału angielskiego, przełożył Władysław Zawadzki. Tom I część pierwsza. Lwów 1862 r. 8a. str. 239.

Przekład dzieła Buckla, chociaż nosi datę zeszłego roku, niemniej jednak ma prawo być zamieszczonym w bibliograficznym przeglądzie bieżącego piśmiennictwa, naprzód dlatego, iż niedawno dopiero pojawił się w warszawskich księgarniach, powtóre, iż bibliograficzne artykuły naszych pism czasowych zupełnie prawie dotąd o nim milczały, pomimo iż tak rzeczono dzieło, jak i jego przepolnienie, z wielu bardzo względów na bliższą uwagę powszechności zasługuje.

(Dodatek do Nr 205 Tyg. Illustr.)

Wszelki nowy utwór piśmienniczy traktujący o Anglii, powinien być dla nas zjawiskiem bardzo pożądanym, zważywszy na zadziwiająco małą ilość gruntowych wiadomości, jaką dotąd o tym kraju posiadamy. I rzeczywiście, wyjąwszy dzieło: Krystyna Lacha Szyrmy, Ludwika Pietrusińskiego i Dziekońskiego, wiem zresztą o Wielkiej Brytanii tyle tylko, ile nam powiedziały o niej nędzne nasze geografie, niewiele lepsze od nich historie powszechnie, wreszcie artykuły i korespondencje dziennikarskie. A przytém co gorsza, większa część tych wiadomości przeszła do nas nie z pierwszej ręki, ale od Francuzów, których niepodobna w tym razie uważać za sędziów zupełnie kompetentnych, a zwłaszcza bezstronnych. Nie widzimy wszakże wyrozumowanego powodu, dlaczego gobyśmy mieli podzielać ich zapatrywanie się na „przewrotny Albion“, zamiast wyrobienia sobie własnego, nam właściwego, sądu o nim.

W ogólności powszechność nasza (nie ubliżając jednostkom) wie tylko że Anglia jest to potężne państwo morskie, w którym są wielkie fabryki, wielka arystokracja, wielka nędza i, jak obecnie, wielki brak bawełny, dalej parlament, mityngi, splin, mgła, wysięgi konne i tym podobne zamorskie cuda. Istniała wprawdzie u nas, a może i dotąd istnieje, nieliczna kasta anglomanów, niezdarnie malpujących turf i sport angielski, lecz były to nie więcej jak pojedyncze wybryki, bez sensu i wpływu na ogół.

A jednak, patrząc na potężne państwo tych, jak ich u nas nazywają, kramarzy, na jego instytucje, na drogi któremi do nich dochodziło, na formę jaką sobie wytworzyło dla ciągłego ich doskonalenia, zapatrując się na potęgę, której najcięższe ciosy nie zdołały przełamać, na angielską trybunę i doki, prasę i riflemanów, literaturę i armstrongi, pauperyzm i *habeas corpus*, trudno nie zdumieć się nad tym lewiatanem, który nazywamy Anglią. Badawczemu i łaknącemu wiedzy umysłowi niepodobna niezaprznać poznać bliżej jakimi kolejami Anglik przechodził do tego czem jest obecnie i jak się porusza ta ogromna maszyna, o sile wielu milionów ludzi.

Z tego zapatrując się stanowiska, powiedzieliśmy wyżej, iż każde gruntowne dzieło, dające nam poznać Anglię pod jakimkolwiek względem, jest dla nas zjawiskiem i pożądanem i pożytecznem. Dalecy jesteśmy zarówno od bezwzględnej uwielbiania wszystkiego co tylko angielskie, jak i od płytkiego cechowania egoizmem i kramarstwem wszystkich w ogóle czynów angielskiej społeczności. Trzymamy się jedynie zdania, iż tak przeszłość jak i teraźniejszość tej społeczności wiele nas nauczyć i oświecić może, bylebyśmy tylko zdobyć się mogli na samodzielne jej studyowanie, bez uprzedzeń i pomocy kwiecisto-gadliwych guwernerów.

Buckle, założywszy sobie przedstawić dzieje rozwoju cywilizacji w Anglii, jał się tej pracy z ogromnym zasobem wiadomości i nauki; dowodzą tego liczne cytaty, przypisy i objaśnienia, jakie już w pierwszej części spotykamy, a jeszcze więcej widoczna w każdym niemal okresie pewność siebie i znakomita ścisłość wywodów. Autor nigdzie nie idzie po omacku, wie dokąd dąży i to co powie jest dlań kategorycznym pewnikiem. O ile ze wstępu wnosić możemy, Buckle, logicznie biorąc się do rzeczy, zamierza dać nam naprzód ogólny rys cywilizacji, wskazać jak ją pojmujemy, jakie czynniki wpływają na jej rozwój i od czego ten jest zależny. P. Zawadzki w swój przedmowie, o ile nam się zdaje, nie tak jak my rozumiał założenie angielskiego autora. Twierdzi bowiem iż Buckle, zamierzając kręślić obraz rozwoju cywilizacji, dlatego wybrał ku temu Anglię, że „w kraju tym duch ludzki mniej niż gdziekolwiek doznawał przeszkód w prawidłowym rozwoju swoim, mniej ulegał naciskowi wpływów obcych, bądź zewnętrznych, bądź wewnętrznych.“ Pozwalamy sobie wątpić, by takimi były rzeczywiste motywy Buckla, dobrze bez wątpienia obeznanego z dziejami swego rodzinnego kraju. Chybażby zapominał o najściu Normanów, wojnach wewnętrznych, całym długim szeregu królów z rodu Tudorów i Stuartów, stających zawsze wrogo przeciw „prawidłowemu rozwojowi ducha ludzkiego“, nakoniec o nacisku jaki przez długi czas wywierała nań doktryna purytanów i innych sekciarzy. Owszem, duch ów, zdaniem naszym, doznawał tu na każdym niemal kroku przeszkód niesłychanych, ciężko opłaca każdą nową zdobycz i być może dlatego tak spotężniał, tak się uwielmożnił w trudnej i długiej walce o swoje prawa. Zaiste, ktokolwiek więcej nieco wpatrywał się w historię wewnętrzną Anglii, ten nie powie by państwo to było zawsze najdogodniejszą formą dla rozwoju ducha. Gdyby koniecznie trzeba było wyszukiwać powodów dlaczego Anglik pisze historię cywilizacji Anglii, a nie Portugalii lub księ-

stwa Monaco, zdaje się iż możnaby znaleźć i bliższe i ważniejsze.

Wydana obecnie pierwsza część pierwszego tomu Historii cywilizacji w Anglii, zawiera w sobie dopiero cztery rozdziały ogólnego wstępu do całego dzieła. Autor robi naprzód przegląd źródeł dziejowych. W rozpatrywaniu nagromadzonych dotychczas materiałów, uderza go przedewszystkiem to, iż z tak bogatego zasobu nie zdołano dotąd utworzyć harmonijnej całości naukowej, jak tego już dokonano w dziedzinie nauk przyrodzonych. Żałować trzeba, iż zapisując fakt ten, pominięty autor nie zagłębił się nieco więcej w jego przyczyny, leżące niezaprzeczenie w samej naturze przedmiotu poddawanego naukowemu obrobieniu. Różnica istniejąca obecnie między stanowiskiem nauk przyrodzonych i historycznych, wynika przedewszystkiem z różnicy faktów będących tak jednych jak drugich przedmiotem, to jest z różnicy jaka zachodzi między materią ostatecznie rozwiniętą i w sobie doskonałą, a duchem doskonałym się ciągle i rozwijającym się coraz wyżej.

Buckle stawia sobie zadanie wytworzenia z materiałów historycznych jednej organicznej naukowej całości, to jest zamierza zrobić dla dziejów to, co Humboldt uczynił dla nauk przyrodzonych. Zadanie takie nie jest rzeczą nową; podnoszono już je oddawna i nieraz; że wymienimy ku tylko Vico, Montesquieu, Herdera i licznych autorów historyzofii, którzy nad rozwiązaniem jego pracowali.

Poszukując niewzruszonych zasad dla zbudowania na ich podstawie nowej nauki, Buckle rozbięra krytycznie metafizyczny dogmat wolnej woli i teologiczny dogmat przeznaczenia; w końcu uznaje oba za opierające się na hipotezach, więc niezdolne stanowić naukowej podstawy dziejów.

Następnie stawia rodzaj kategorycznego postulatu, że czynności człowieka muszą pod wpływem jednakowych okoliczności, jednakowemi objawić się skutkami. Ponieważ zaś wszystkie przyczyny działalności leżą lub w samym duchu, lub zewnątrz jego, więc i wszystkie skutki następstwa jego działalności muszą być wynikiem działania objawów zewnętrznych na umysł i działania ducha na objawy świata zewnętrznego. Na takim pewniku ma stanąć historia w filozoficznym znaczeniu.

Jeżeli przyjmiemy, że filozofia jest wiedzą wszech rzeczy z pierwszych źródeł poczęta, nauka zaś szeregiem jednorodnych prawd z owych źródeł wyprowadzonych i w organiczną całość ukształtowanych, to powyższego założenia Buckla, pomimo niezaprzeczanej jego prawdziwości, żadną miarą niepodobna nam przyznać za dostateczną podstawę nauki dziejowej, w tém znaczeniu jakie jej chce nadać autor. Łańcuch przyczyn i skutków jest faktem niezaprzeczonym bezwzględnie, lecz nauka, by była filozoficzną, oprócz się winna nie na szeregu faktów, chociażby najdluższym, lecz na pewniku z samego źródła wiedzy wydobytym, na tak zwaną *ratio finalis*; w przeciwnym razie będzie tylko nagromadzeniem faktów i ich wyników, tak zwaną umiejętnością eksperymentalną.

Wyformułowanie filozoficznych podstaw dla nauki dziejowej, poczytujemy za zupełnie niedostateczne w dziele Buckla. Autor, pomimo jasności innych swych dowodzeń, co do powyższego punktu nie zdołał wybrnąć z zaczerpniętego koła przyczyn i skutków. Odrzucając twierdzenia i założenia innych pisarzy, stawia w ich miejscu to, co samo jeszcze potrzebuje filozoficznej podstawy.

Teoretyczne, lub raczej abstrakcyjne rozumowania Buckla, są najslabszą stroną wydanej obecnie pierwszej części jego dzieła. Nie przesadzamy dalszego jego rozwoju, ale z tego cośmy już tu znaleźli, możemy z pewnością wnioskować, że Historia cywilizacji w Anglii nie będzie żadną miarą tém dla nauki dziejowej, czem jest Kosmos Humboldta dla sfery nauk przyrodzonych.

Nie ujmujemy to jednak wysokiej wartości dzieła pod innemi względami. Buckle, o ile niefortunny w abstrakcyjnych wywodach, od których wszakże musiał zacząć, o tyle jest logiczny i przekonujący w dziedzinie faktów. Jest to zresztą właściwością wszystkich nowszych angielskich myślicieli. Jego wykład wpływu praw fizycznych i moralnych na organizację społeczeństwa, celuje głęboką erudycją i wysoka zdolność tak grupowania faktów, jak i posługiwania się nimi dla objaśniania swych założeń. Z tej strony pierwsza część Historii cywilizacji Anglii zawiera wiele zupełnie nowych spostrzeżeń, ułożonych nader umiejętnie, a które mogą rzucić znakomite światło na warunki rozwoju cywilizacji.

Niepodobniestwem jest rozbięrać w tém miejscu krok za krokiem cały system Buckla; rozszerzyłoby to nad miarę niniejszą bibliograficzną wzmiankę. Ogra-

nieżyć się więc musimy na przedstawieniu w ogólnym tylko zarysie treści tego ważnego i zajmującego dzieła.

Czynności nasze, mówi w nim autor, są jedynie wynikiem wewnętrznych lub zewnętrznych czynników, więc zależą od praw rządzących temiż czynnikami, to jest praw duchowych i praw zmysłowych. Prawa duchowe potężniejsze są w Europie od praw fizycznych, a w postępie cywilizacji potęga ta bezustannie wzrasta, gdy siły przyrody pozostają w jednym zawsze stanie; prawa więc duchowe są rzeczywistymi dźwigniami postępu. Prawa zaś te są dwojakiego rodzaju: moralne i umysłowe; pierwsze są z swą naturą nieruchome, drugie zaś postępowe. Postęp społeczeństwa nie jest wypływem wiedzy moralnej, od wieków niezmienną, lecz raczej wiedzy umysłowej, która od wieków rozwija się i doskonali. Zład chcąc dociec warunków kierujących postępowaniem cywilizacji, należy szukać takowych w dziejach rozwoju wiedzy umysłowej. Dzieje więc cywilizacji będą właściwie dziejami wiedzy umysłowej.

Takie są wywody Buckla. Powtórzyć tu musimy, iż treść ta jest obrobiona nader umiejętnie; autor zebrał ogromną masę dowodów dla tem mocniejszego przekonania czytelnika i rozwinął rzecz całą nadzwyczaj konsekwentnie. Znajdują się tu uderzające swą nowością fakty, odkrycia i zestawienia statystyczne, na które położono nawet może za zbyt wielki nacisk.

Teoria Buckla sprawia przykre wrażenie. Odrzucając doktrynę przypadkowości, fatalizmu, opatrności i wolnej woli, autor stawia wszystkie czyny ludzkie w bezwzględnej zależności od faktów poprzednich. Życie przy takich warunkach traci właściwą sobie cechę, a staje się podobnym do wegetowania i tem uciążliwszym, iż nie jest jak tamto bezwiednem.

Oprócz tego w całym dziele widać zawsze Anglika, który pozostaje wiernym swym wyspiarskim przekonaniom, pomimo iż usiłuje stanąć na uniwersalnie człowieczym stanowisku. Ten brytański koloryst, chociaż może bezwiednie dla autora, widoczny jest jednak wszędzie prawie. Buckle utrzymuje iż wpływy fizyczne i moralne podrażniają tylko oddziaływają na rozwój cywilizacji europejskiej; działanie wszakże ich w czasie obecnym jest tej natury, iż ślady jego łatwo są dostrzegalne; one też właściwie stanowią różnicę zachodzącą obecnie w cywilizacji np. francuskiej, niemieckiej, włoskiej lub angielskiej. Wskażemy tu na następne, czysto brytańskie rozumowania Buckla, do których, jak sądzimy, nie przyszedłby żaden z francuskich lub niemieckich myślicieli.

Na str. 174 utrzymuje autor, iż rozumowania etyczne opierają się na hipotezach, badania zaś statystyczne są ściśle wywnioskowane ze zbioru niezliczonych faktów, „zestawione przez ludzi, którzy będąc po większej części organami urzędowymi, nie mieli potrzeby ani zamiaru naginać je do jakichś odrębnych teorii, ani też interesu w przekręcaniu prawdy w urzędowych sprawozdaniach.“ Na takie przeciwstawienie urzędowych tablic statystycznych wywodom etycznym, a zwłaszcza oparte na podobnym syllogizmie, nie byłby w stanie zdobyć się żaden prawdziwy uczony kontynentu...

Tak na str. 8—9 utrzymuje jeszcze oryginalniej, iż gdy w kraju zasoby bogactwa dojdą do pewnej wysokości... nie potrzeba ażeby wszyscy zarówno pracowali... „i oto tworzy się osobna warstwa społeczna, której członkowie przepędzają większą część życia w ubieganiu się za przyjemnościami; niektórzy z nich atoli, acz w małej liczbie, oddają się nabywaniu i rozpowszechnianiu umiejętności, i tacy to ludzie stają się twórcami nowych systemów filozoficznych i religijnych.“ By utrzymać iż takie są źródła systematów filozoficznych i religijnych na to trzeba być koniecznym panem trzech połączonych królestw.

Te i tym podobne paradoksy, nie ujmują wszakże wartości dzieła w tem, co stanowi głównie treść jego. Dzieje cywilizacji w Anglii pozostaną zawsze, pomimo podobnych epizodycznych usterek, utworem szeroko pomyślanym i umiejętnie wykończonym, zwłaszcza jeżeli następne jego tomy obecnie wydanej pierwszej części odpowiedzą.

Szczera wdzięczność należy się panu Zawadzkiemu za powzięcie zamiaru przyswojenia naszemu piśmiennictwu znakomitej pracy angielskiego autora, jak również za jasny i gładki przekład. Dalszych części z niecierpliwością wyglądamy. *Włodzis. Górski*

BŁOGOSŁAWIENI

CYRYLI I METODIUSZ,

APOSTOŁOWIE SŁOWIAN.

(Dokończenie.)

Walka ta nie po raz pierwszy wznowiona była na ziemi słowiańskiej z Niemcami. Owszem, Morawianie

mieli przykłady żywe i świeże przed oczyma szczęśliwych zapasów swoich współbraci Dalmatów, którzy jarzmo niemieckie w 822 r. zrzucili. Patrzali na silne zapasy kroackich książąt Ludewita i Ratymira z Bawarczykami i możeby w ich ślady daleko im było pójść łatwiej, gdyby już wówczas nie trapiła była Słowian zwykła niejedności w przedsięwzięciach politycznych choroba. Na lewym brzegu Dunaju Niemcy bezpiecznie władać mogli i gospodarzyć, zawdzięczając brakowi jedności i porozumienia się w polityce dwóch książąt, pretendentów do tronu morawskiego Moimira i Prybiny, z których pierwszy, jako chrześcijanin przez Niemców wychowany, stał się potulnym ich holdownikiem, drugi, jako poganin, jednoczył koło siebie siły Morawian, gotowych zawsze rzucić się na Niemców. Prybina przecieżył, aby odzyskać dziedzictwo swoje Nitry, musiał się ochrzcić, lecz że chrztu tego dokonał również jak i Moimir pod opieką i przywództwem Niemców, znienawidzony, został zamordowanym 861 r. Tak silne było wówczas parcie woli narodowej do wojny z Niemcami, że nawet pobudzono do niej spokojnie holdującego Niemcom Moimira. Zaledwie Moimir dał się skłonić do tego, a już czujną chciwością Niemców uprzedzony, napadnięty i z tronu wyzuty został. Potężna jednakże była zapewne wola oburzonego ludu morawskiego, kiedy nawet kreowany przez cesarza Ludwika następcą Moimira Rościslawa uleść jej musiał, i pierwszy przeciwko mniemanemu dobroczyńcy swemu sztandar niepodległości słowiańskiej rozwinął.

Nie mogąc przenieść nacisku konnicy niemieckiej, Rościslawa schronił się do fortecy Dewina, gdzie otrzymał nareszcie niepodległość i został pierwszym imperatorem morawskim. To właśnie jest najświetniejszy okres panowania jego, w którym gwałtowne poczucie niepodległości politycznej zmuszało go do szukania wszystkich środków zapewnienia jej swemu państwu. W tym właśnie czasie udawał się on z prośbą do dworu bizantyjskiego: *ot was bo na wsę strany zakon dobryj ischodit*. Ale z dworu bizantyjskiego nie-dobry wtedy zakon wychodził. Wysłańcy tego dworu, Konstanty i Metodiusz, zapomniawszy o swojej metropolii, zwrócili władzę morawskiego ku Rzymowi, a Rzym dawał osłonę i otuchę swobody religijnej. Pozostawało więc Rościslawowi, wyzyskać się ze wszelkiej nadziei pomocy z Carogrodu, szukać jej pomiędzy współplemiennymi Słowianami. I okoliczności dziwnie mu sprzyjały w tej mierze. Wnet po obwołaniu się imperatorem morawskim, dwór Rościslawa stał się schronieniem wszystkich uciskanych Słowian. Słowiczech, książę czeski, wypędzony przez Bawarczyków, znalazł u niego przyjęcie i pomoc, a nawet pewność dobrych z Rzymem stosunków, za pośrednictwem św. Cyryla i Metodiusza utrzymywanych, sprawiła tyle, że i książęta niemieccy, pokrzywdzeni przez cesarza, szukali u Rościslawa opieki. Miało to miejsce z dwoma nawet synowcami cesarza niemieckiego. Najważniejszą zaś korzyścią, jaką to polityczne organizowanie się Morawii dokonało w owym czasie, było jednoczenie się słabszych państw słowiańskich, a jęczących jeszcze pod Niemców przemocą, z tą Morawią, do której teraz wszystkich Słowian oczy zwrócone były. Tym sposobem synowie i następcy Kocela i Prybiny, uznali dobrowolnie zwierzchnictwo Rościslawa.

Wyteżony i rozpaczny najazd cesarza Ludwika na Morawię w 864 r. nie odniósł pożądanego skutku. Rościslawa bowiem, wzmocniony sojuszem współbraci Czechów i Serbów, rzucił się jak lew na Germanię, dosięgł Turynii i Bawarii, gdzie rozniósł śmierć i zniszczenie. Nieszczęściem zdrada, ta czarna plama w małowytwałym charakterze słowiańskim, przerwała pasmo powodzeń Rościslawa. Podczas kiedy rozpaczny patryotyzm Morawczyków zmusił głodem do cofnięcia z granic państwa morawskiego trzy ogromne armie cesarskie, przez oddanie całego mienia i dobytku na zniszczenie, znalazł się pomiędzy Morawczykami jeden, który pożądaną władzę, uwięził Rościslawa i oddał go Bawarczykom. Sąd w Ratyzbonie wymierzony na niego, złożony z najzaciętszych wrogów, zazdroszczących powodzenia obecnego Rościslawowi, a czyhających na łup, którym się podzielić zamierzali, pozbawił go oczu i skazał na wieczne więzienie. Tym zdrajcą był Świętopełk, którego także godna od Niemców spotkała zapłata, — więzienie. I tylko bunt nieprzewidziany w Morawii, powstanie nowego bohatera, księdza Stawomira, i kilkakrotne zwycięstwa odniesione przezeń nad Niemcami, zmusiły tych ostatnich do uwolnienia Świętopełka z więzienia i do ogłoszenia go prawym następcą tronu morawskiego.

Świętopełk był jedną z tych rzadkich osobistości historycznych, które grzechy przeszłości umieją naprawiać i zmazywać wielkiem poświęceniem się dla sprawy narodowej. Niewola wyrobiła w nim wielką myśl pod-

niesienia Morawii do niepodległości politycznej i myśli tej pozostał wiernym aż do śmierci. Osadzony przez Niemców na tronie z prawem lennictwa, Świętopełk zaraz zwołał Morawian, przedstawił im trudność położenia, konieczność chwycenia się ostatecznych środków i do stanowczej walki z Niemcami podbudził. Najbliższym następstwem tej rezygnacji był napad 872 roku na Bawarczyków. Niemcy zostali pobici na wszystkich punktach. Na dopełnienie zaś miary zwycięstwa, Słowianie sąsiedni znowu się kupić poczynają koło Świętopełka. Tak Borzywoj czeski i książęta serbscy z nim się połączyli i uznali go, jak przedtem Rościslawa Kroaci, swym zwierzchnikiem. Jest to drugi akt sławy i powodzenia oręza słowiańskiego. W tak krótkim przeciągu czasu Rościslawa i Świętopełk zjawiają się jako dwie potęgi straszne dla Niemców siłą plemienną spójności, a dokonane i zatwierdzone jednością religijną i polityczną.

Nie tu jeszcze koniec powodzeń Świętopełka. Arnulf, cesarz niemiecki, nie będąc w stanie zwyciężyć Świętopełka, zawarł z nim przymierze. Ale przymierze to z dawnym lennikiem i holdownikiem było upokarzającym i dotkliwym dla baronów niemieckich. Ci więc właśnie nieprzyjaciele Słowian zmuszają cesarza, aby raz jeszcze spróbował szczęścia na polu bitwy. W roku 883 Niemcy gromadzą znowu ogromne siły, ale skutkiem wojny było wzięcie do niewoli znakomitej młodzieży niemieckiej, ustąpienie Morawianom Pannonii prawem lennictwa, a następnie Awaryi i Bohemii. Było to apogeum sławy i pomyślności Świętopełka i państwa morawskiego. Wtedy to, jak powiada biograf, *morawska oblast prostraniali se naczt wo wsę strany i uragy swoje pobiezdati*. Wtedy to mogło się dokonać ochrzcenie Borzywoja, księcia czeskiego, wtedy mogło mieć miejsce owo znakomite poselstwo Metodiusza do Słowian Lechii nadwiślańskiej, które dla jego ważności, a szczególnie przez wzgląd na ówczesną potęgę polityczną Morawii, całkowicie przytaczamy.

Poganesk knęž, powiada morawski biograf Metodiusz, silen welmi siedę w Wislech, ragaszę se christianom i pakosti diejasje. Postaw ze k' nemu Mefodij recze: dobro ti se by krestiti synu woleją swoję na swojęj zemli, da ne plenen nądm kreszczen badezi na cziużęj zemli i pomianesz mię.

Tak więc Świętopełk jak Metodiusz jasno pojmowali społeczne swoje względem Niemców stanowisko. Rozumieli, że im spajać i łączyć należało jedną religijną i polityczną dążnością wszystkie rozpierzchłe siły słowiańskie. Do Lechii więc nadwiślańskiej, która poza obrębem wszystkich tych starć politycznych leżała, podówczas odzywa się Metodiusz, wzywając do jedności i porozumienia, tak w wierze, jak polityce. *Silen bowiem welmi był knęž siedeszcz w Wislech*, ale go Opatrzność przeznaczyła do wystąpienia na pole polityczne dopiero za jakie lat 150, gdy Polska przejąć była obowiązkiem misją religijną i polityczną Wielkiej Morawii, za czasów naszych Bolesławów Krzywoustych i Kaźmierzów. W obecną zaś chwilę pozostać musiała na placu boju sama Morawia, a pozostać w czasie, w którym najczarniejsza zbrodnia sojuszu pseudocywilizacyjnych Germanów z dzikimi Madziarami, dokonać się miała na zagładę tejże słowiańskiej monarchii.

Cesarz Arnulf, widząc że nie sprosta Morawczykom własnymi siłami, wezwał do pomocy dzikich huńskiego plemienia Madziarów, którzy wówczas rabowali okolice Dunaju. „Cesarz niemiecki, powiada Cypryan Robert, chętniej się zgodził odkryć tym dzikim azyatyckim tłuszcem przejście przez góry tyrolskie, żeby się im rzuciły i rozszarpały Europę całą, niżli miał patrzeć na usamowolnienie z pod przemocą swojej spokojnego plemienia słowiańskiego.“ Podanie niesie, że poseł madziarski Kunid poniósł Świętopełkowi w holdzie konia białego, a prosił aby mu pozwolono napełnić wodą czarę, nabrać ziemi do naczynia, a do worka trawy z Dunaju. Świętopełk, spodziewając się w tych hordach znaleźć pożytecznych rolników, przyjął ich po słowiańsku, ze szczłą otwartością i radością. Ale tuż na wiosnę 894 r. konnica madziarska rozniosła spustoszenie po całej Pannonii. Świętopełk tak ich zaskoczył, że byłby wszystkich głodem i mieczem wyniszczył; ale w tymże czasie wtargnął z północy sprawca tego najazdu, cesarz Arnulf i godny jego pomocnik, a zdrajca sprawy słowiańskiej, książę kroacki Bracisław z południa. Wtak oplakany stanie, a z trzema przeważnymi nieprzyjaciół, prowadził jeszcze przez trzy lata morderczą wojnę Świętopełk, widząc zaś że uleść musi, zniknął w 894 roku bez wieści.

Nieogledni synowie Świętopełka, Moimir i Świętopełk II, dokonali upadku ojczyzny podziałem ogromnej monarchii ojca, czem otworzyli pole do zwykłych intryg niemieckich i ułatwili oderwanie się Bohemii

895 roku. Pannonia dostała się zdrajcy Bracisławowi, który został znowu lennikiem Niemców; nareszcie Świętopelk wypędzony przez brata sam szukał u nich schronienia. Moimir, który się jeszcze przez lat pięć dzielnie bronił i odpięł cztery z kolei ponowione najazdy, musiał nareszcie 900 roku podpisać w Ratybonie rozbiór własnej ojczyzny. Od tej nieszczęśliwej chwili Wielka Morawia już nie powstała nigdy w swoich dawnych granicach, ale treść zasadniczą swojej religijnej i politycznej misji przekazała w spadku Polsce, której obowiązkiem stało się wstąpić w jej ślady i dalej dzieło wyswobodzenia Słowian z pod germańskiego ucisku prowadzić.

Rzeczywiście powiedzieć można, że największym wymiarem łaski wszechopatrnej dla Metodiusza było to, iż on nie widział upadku ojczyzny swojej, której jeden najsilniejszy filar, kościół słowiański, z takim dźwignął i podtrzymywał trudem. Przed barbarzyńską znową Arnulfa z Madziarami, mąż ten święty dokonał błogosławionego żywota swego w r. 885.

c) *Missya literacka.*

Z misji religijnej i politycznej błogosławionych braci Cyryllego i Metodiusza, ze stanowiska jakie sobie w tymże religijnym i politycznym świecie ówczesnego żywiołu wytknęli, wypływa niejako konieczność nowego żywiołu literackiego, który oni wnieść musieli na arenę owocnej cywilizacji europejskiej. Z tą głębokością przekonania z jaką, zawierając z Rzymem bezwzględna unię religijną, ujednokniali przecież Słowian przyjęciem w liturgii języka ojczystego, z tym głębokim przeświadczeniem i poczuciem potrzeby wyłączenia się politycznego z pod wpływu i przemocy Niemców, przystępowali bracia nasi błogosławieni do niemniej ważnego dzieła ułożenia pisma, któreby duchowi i naturze języka słowiańskiego doskonale odpowiadało, ale któreby zarazem odrębnością zarysów swoich i kształtów wyosobniało się i odróżniało tak od łacińskiego, jak i od greckiego grafiki.

Z tego względu mniemamy, że św. Cyryl, któremu jednoznacznie część wynalezienia pisma słowiańskiego przyznana została, ułożył pierwotnie tak nazwane *pismo glagolickie*, zewnętrzną postacią swoją tak zbliżone do form i zarysów pism hebrajskiego, samarytańskiego, fenickiego, syryjskiego a nawet koptyckiego. Wniosek ten popierają najnowsze badania naukowe Szafarzyka, (1) Grygorowicza, (2) i innych uczonych badaczy rzeczy słowiańskich, którzy znaleźli się ostatecznie w konieczności przypisania pismu glagolickiemu niemniejszej od cyrylicznego starożytności.

W najdawniejszych wzmiankach o piśmie słowiańskim jakie znajdujemy u bółgarskiego mnicha Chrabra, współczesnego pierwszym uczniom i pomocnikom św. Cyryllego i Metodiusza, spostrzegamy uwagi naprowadzające na ten domysł. Chabr, wypowiedziawszy myśl ogólną: *przedtem bowiem Słowianie nie mieli ksiąg, ale kręskami i narzynianiami czytali i gadali* (gataacha), *poganami będąc. Ochrzczeni zaś, uczyli potrzebę pisania, bez ustroju jeszcze, mowy słowiańskiej pismem greckim lub rzymskim*, — tuż sobie zadaje wątpliwe pytanie: *ale czyż można dobrze wypisać pismem greckim takie a takie wyrazy?* W tym według nas wątpliwym zastrzeżeniu, wyraziło się zarazem przekonanie, że św. Cyryl nie mógł i nie powinien był układać pisma słowiańskiego takiego, któreby do greckiego zbliżone było. I rzeczywiście zastanawiającem jest dlaczego tej wątpliwości nie odniósł zarazem do łacińskiego, o którym, że było z greckim zarówno do wygłaszania mowy słowiańskiej używane, wspomina wyżej nieco.

Późniejsza wzmianka u tegoż mnicha Chrabra, wystosowana na odparcie zarzutu, że *pismo słowiańskie przez św. Cyryllego ułożone dobrem nie jest, albowiem dotąd jeszcze (za jego czasów) porządku się i ulepsza* (3), dowodnie służy na poparcie wniosku, że wkrótce po wynalezieniu pisma cyrylicznego (glagolicy), jako trudniejszego w kształtach, a przeto mniej do pisania dogodnego, wzięto się do ułatwienia i sprostowania pisma tego. Jakoż w życiu św. Klemensa arcybiskupa bółgarskiego znajdujemy niemniej ważną pod tym względem, a zupełnie odpowiadającą powyższej wzmiance: *wynalazł także inne głoski kształty, które się odznaczały większą jasnością i prostotą, niż te które św. Cyryl wynalazł i głoskami temi całe pismo św. przełożył*. (4) Wziąwszy na uwagę że św.

Klemens był arcybiskupem Bółgaryi, która wkrótce po śmierci Cyryllego i Metodiusza wcielona została do kościoła greckiego, przekonamy się łatwo, że o ile św. Cyryl miał wolny wybór w ułożeniu abecadła choćby najtrudniejszego, podług wzorów języków z oddalonego Wschodu, o tyle św. Klemens, dla jasności i prostoty tegoż pisma, a bardziej jeszcze przez wzgląd na swoje metropolią carogrodzką, musiał w ułożeniu tego nowego słowiańskiego pisma, zbliżyć się do wzoru greckiego. Tak więc w krótkim czasie, na niewielkiej rozległości ziemi słowiańskiej, rozdzielonej przecież dobitnie wyrazem i dążnością tak religijną jak polityczną i literacką, powstają dwa pisma: słowiańskie pannońsko-morawskie *glagolice* zwane i bółgarskie sprostowane i ułatwione przez św. Klemensa, które chociażby dla dobitnego odróżnienia od pierwszego, przeważby należało jednoznacznie *bukwicą*.

Zastanowiwszy się nad samym układem glagolicy, a szczególnie nad wystawieniem pojęciom przywiązaniem do nazw samych głosek w tym abecadle, (5) postrzegamy odrazu znakomitego twórcę jego św. Cyryllego, który z właściwą sobie głębokością i na tę stronę znakomitego dzieła swego zwrócił troskliwą uwagę.

Podczas kiedy wszystkie prawie nazwy głosek w językach wschodnich oznaczały pewną grupę pojęć zmysłowych, wyrażających pierwsze potrzeby zmysłowego jeszcze człowieka, w nazwach glagolickich głosek prześwita już jakby technienie ducha z innego świata. Nazwy te już nie zmysłowe pojęcie wyobrażają, ale oświecem otwierają świat nowy, intelektualny, w dziedzinę którego wkraczała odrazu literatura słowiańska, zasilwszy się na pierwszym wyjęciu źródłem wiedzy i życia przez tłumaczenie pisma świętego. I w samej rzeczy: w hebrajskim na przykład abecadle nazwy *alef, beth, gimel* oznaczają właśnie te zmysłowe pojęcia *trzość, domu, wielbłąd*, jako pierwszego zadolenia potrzeb zmysłowych, o których wspominaliśmy wyżej. Nazwy te z małą odmianą powtarzają się nie tylko w fenickim, samarytańskim i innych wschodnich językach, ale je znajdujemy jeszcze i u Greków, podobnie z małymi odmianami: *alfa, beta, gamma* etc. Twórca pisma słowiańskiego w nazwach swoich glagolickich głosek odrazu stanął na wyższym uduchownienia szczeblu. Niezwykle lub niewyrażnie często orzeczenia głosek jego, wiążą się jednak w jakiś łańcuch pojęć intelektualnych oderwanych, które jakby zapowiedzią być miały przyszłego umysłowego rozwinięcia się Słowian.

Na wstępie spotykamy znakomite *az buki wedy*, przypominające owo wzniesłe w starym zakonie: *jam jest Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, domu niewoli*. Twórca abecadła słowiańskiego tym wzorem poczyną: *jam (jest, az) drzewem* (buk, buczyna, drzewo tak czczone u pogańskich jeszcze Słowian), *wiedzy (wedy)*, (które cię wyprowadzi z ciemnoty ducha) etc.

Następna trójka wyraża znaczenie mowy ludzkiej. *Glagol dobro jest*, t. j. mowa jest dobrodziejstwem (dla człowieka). Inna, rozleglejszego znaczenia, jakąś żywotną kwestyą społeczeńską potrącając się zdaje: *Kako ludi myśle* t. j. myśleć jako ludzie, jak przynależy człowiekowi, albo zarówno z narodem. Jeszcze inna wkracza w psychiczną zasadę charakteru, woli: *rcy słowo twerdo*, wyrzekaj z przekonaniem każde słowo i t. p.

Tego wyrozumienia nazw głosek glagolickich (6) nie podajemy za niewątpliwie i niczem niezbitą, ale wyrażamy jednak to przekonanie, że nazwy te, z mniej więcej przybliżonym i podchodzącym do nich znaczeniem, wyrażają już nieskończenie więcej nad luźne a całkiem zmysłowe pojęcia: *bydło, dom, wielbłąd*, choćby je nawet dowolnym jakimś słowem, w zdanie również dowolnie powiązano. Z dwóch zdań objawionych, chociażby różnoczesnie, na większą uwagę zasługuje to, w którym myśląca dusza człowieka wyrwywając się ze zmysłowości, wkracza w sferę ducha i czynu i w nich się przejawia i odbija. A tę właśnie umysłową stronę doskonale, jakeśmy rzekli, wyrażają same nazwy głosek glagolicy i późniejszej *bukwicy*.

Nie miejsce tu ani pora ku temu, abyśmy się w zbyt szczegółowe rozbiory pierwiastkowego piśmiennictwa Słowian zapuszczać mieli. Niemniej przeto obowiązaniem przełożyć czytelnikom naszym choćby wzorcz jak i z tego przed lat tysiącami istniejącego już piśmiennictwa. Bierzemy zaś ten wzorecz nie z *glagolicy*, jako wcześniejszej a zatem mniej doskonałej, ale

z *bukwicy*, ulepszanego i udoskonalonego już piśmiennictwa słowiańskiego (7) przez św. Klemensa arcybiskupa bółgarskiego.

Niech nam ku temu posłuży najwznioslejsza ze wzniosłych *Modlitwa Pańska* (Ojciec nasz), na której jeden z filozofów naszych, chociaż, jak słuszną, oprócz całej genezy filozofii ludzkości chrześcijańskiej. (8)

Najdawniejsze pomniki piśmiennictwa słowiańskiego podają ją w takiej formie, że tylko, śmiało rzecz możemy, jedno ze słowiańskich, abecadło polskie, oddać nam ją w tej starożytnej formie może dokładnie.

Otce nasz iže jesi na nebesech, da swetiť se ime tvoje, da pridet carstwie tvoje, da badeť wola tvoja jako na nebesi i zemi, chleb nasz naszecznyj dažd nam d'nes', i ostawi nam dolgy nasze, jako i my ostawljem dolžnikom našim, i ne w'wedi nas w napast', no izbawi nas ot neprijazni, jako tvoje jest carstwie i sila i stawa w wieky amin.

Na wzorze tym łatwo postrzeże czytelnik, że w za- bytkach starosłowiańskiego piśmiennictwa złożone są niejako zasoby dla przyszłego rozwinięcia i udoskonalenia języków biorących pośredni albo bezpośredni od niego początek. Zasoby te albo podwaliny dla przyszłej budowy przeróżnie wykształconych narzeczy słowiańskich, spowodzić się dadzą do kilku zasadniczych punktów:

a) wyraźne a nie domysłne jotacye, wyrażone szczególnie na początku, dobitnymi formami *ja, je*, (a nie *я, ѣ*).

b) nosowe dźwięki, tak proste *a, e*, jak złożone *ja, je*, odpowiadające wszystkim warunkom i odmianom nosowych polskich, a częstokroć przemagające jeszcze obfitością swoją.

c) zmiękczenia na końcu, lub we środku, które we wzorze oznaczamy znakiem ('). U nas zmiękczenia te we środku dokonywają się zwyczajnie za pomocą głoski *i*.

d) różne formy zmian etymologicznych rozrzucone we wszystkich narzeczach słowiańskich, a skupione i zjednoczone przeważnie w języku polskim. Do tych należą np. zakończenie 6go przypadku na *y* zamiast *ami*, zamiany częste *k* na *c*, *g* na *z* (dz) i t. p.

e) różne formy zmian syntaktycznych, dziwnie odpowiadające składni polskiej, a szczególnie w swobodzie przedstawiania wyrazów samych, z nimi związanych zaimków, partykuł rozłącznych i t. p. (9).

Takie to zadatki złożone są w najdawniejszych pomnikach piśmiennictwa słowiańskiego, któremi św. Cyryl hojnie wyposażał najodleglejszych tego języka potomków. Jak w religijnej i politycznej, tak i w literackiej misji błogosławieni bracia Cyryl i Metodiusz odpowiedzieli najżywotniejszym potrzebom ducha słowiańskiego, o jakie duch ten domagał się w czasie i jakie wyraził w niebardzo odległej przeszłości.

Stojąc na schyłku ubiegłych lat tysiąca, mamy na równi z innymi Słowianami nie tylko prawo, ale i obowiązek zwrócenia się ku naszym apostołom Cyryllemu i Metodiuszowi, ku tym troskliwym opiekunom plemienia naszego, i z głębokości serca wynurzając im dziękczynne modły za wszystko czego dokonali dla nas, musimy zarazem odpowiedzieć sobie na pytanie, *jak i w czem* odpowiedzieliśmy w ciągu tych lat tysiąca opatrzemu ich wezwaniu.

Naprzód więc co do *misji religijnej* przekazanej plemieniu naszemu słowiańskiemu przez tych błogosławionych apostołów. Z prawdziwą pociechą, pokorą chrześcijańską i wdzięcznością wyznać możemy, że kraj nasz zostaje dotąd w tej jedności chrześcijańskiej z Rzymem, której wzór i zakład oni nam podali i przekazali. Słowy więc wielkiego naszego apostoła św. Cyryllego i modlitwa jego, jakby drugim krzyżem świętym oznaczyć się możemy, mówiąc z nim razem: *byliśmy i niebyliśmy, ale jesteśmy* (jak on prawowierne chrześcijanami katolikami). *Radibysze* Morawianie, powiada Nestor, *jako słyszysz weličija Božija swoim językom*. I my podobnie po dokonanych tysiącach latach radować się możemy, że w naszych świątyniach wygłasza się toż słowo Boże *swoim słowiańskim językom*, na wieczną chwałę Boga i sławę prawowiernych i błogosławionych apostołów naszych Cyryllego i Metodiusza.

Co do *misji politycznej*. W misji politycznej Słowian IX wieku, leżało, jakeśmy widzieli, zadanie zrzuć nienawistnego jarzma germańskiego i wydobyć się z pod materialnej i moralnej przemocy tego plemienia, którego wpływ na Słowian był tyle zgubnym dla ich narodowości i bytu politycznego. Widzieliśmy w jakich krwawych zapasach miotła się Mo-

(1) Ueber Ursprung und Heimath des Glagolitismus. P. J. Szafarzyk. Prag. 1858.

(2) Statji kasajuszczijasja drewniawo słowiańskawo jazyka. Grigorowicz. Kazań. 1852.

(3) Mnicha Chrabra o pismenech slovanskyh. Vydal Szafarzyk. Praha. 1851. str. 3.

(4) Grecka legenda o św. Klemensie, w „Pamatky hlalohského pisemnictví“ Szafarzyka str. LIX. 14.

(5) Nazwy te doszły nas z dodatku załączonego do znakomitego dzieła: *Nouveau traité diplomatique* 1750. Dodatek nosi nazwę *Abecennarium bulgaricum* i zawiera wyszczególnienie nazw głosek glagolickich.

(6) *Bukwica* św. Klemensa bezwątpienia też same nazwy przyjęła i rozpowszechniła.

(7) Ueber Ursprung und Heimath des Glagolitismus, Szafarzyk.

(8) Ojciec nasz Aug. Cieszkowskiego. Wydania i roku nie pamiętamy.

(9) Latopis Nestora. Kijów 1860, w Dodatkach.

rawia z tym olbrzymem, który jej nie mógł przecież ostatecznie pokonać i potrzebował aż ohydny sojuszu z barbarzyńską dziecą Madziarów. Czemu, w braku jednolitej politycznej z sąsiednimi Słowian, nie podolała podówczas Morawia, to w następnym wieku podniosła i dokonała Polska. Słaby jeszcze Mieczysław korzy się w Magdeburgach i Merzeburgach przed cesarzem niemieckim, hold i uszanowanie mu składa; ale już syn jego Bolesław Chrobry, aktem koronacji dokonany w Gnieźnie w obliczu samego cesarza, dopełnił wyzucia się z pod nienawistnej Niemców opieki, a zwycięzki miecz jego po wszystkich stronach słowiańszczyzny granicznej w krwi Niemców spławiany, przekonał ich nareszcie, że chwila niepodległości politycznej dla Słowian Polski wybiła. Tym sposobem Polska dokonała misji plemienną, w spadkobierstwie przekazanej przez Morawię.

Co do *missyi literackiej*. Potrącić tu musimy zarzut tylokrotnie powtarzany, że język nasz i pisownia w obliczu swojej łacińskiej stały się niby anomalią jakąś w dziedzinie słowiańskich języków, prostszy niby jakiś stosunek z czcigodną kirylicą utrzymujących, tak samymi głosek formami, jak doniosłością ich dźwiękową. Są to tylko pozorne i nadzwyczaj płytkie zarzuty, na które najdobitniej odpowiedzieć można tem, że tylko naszym językiem, naszą pisownią, a naszą jedynie i wyłącznie, można wszelki zabytek starożytny piśmiennictwa słowiańskiego oddać właściwemu jemu wyśłowieniu, bez potrzeby zapożyczania się i pstrokacenia z innych narzeczy wziętymi głoskami. Pozwalamy sobie myśl tę wesprzeć gdzieindziej wypowiedzianem przekonaniem (10).

Jakkolwiek szacownym zabytkiem słowiańskiego piśmiennictwa jest kirylica, przecież dla niedokładności o których wyżej wspomnieliśmy, dla nieumiejętności prawdziwego i właściwego odróżniania brzmień niektórych, jest ona wcale nieprzydatna w obecnym stanie piśmiennictwa słowiańskiego. Nie mówimy żeby jej brakło zasobów rudymentalnych do tego, bo gdzie są zasadnicze dźwięki, lub nawet pierwsze ich objawy, tam zmian kilka niewielkich doprowadziłoby niewątpliwie do wydoskonalenia odpowiadającego potrzebom czasu. Przyczyna tej społecznej niepraktyczności w użyciu kirylicy, tej martwej już i dla uczonych tylko zrozumiałej mumii, więcej leży w jej zewnętrznej postaci, w starożytnej oryginalności zarysów i kształtów, które przy postępie czasu i cywilizacji, przy zużyciu największych sił ducha i myśli na ułatwienie środków w nauczaniu, robi jakieś przykre dla oka i wyobraźni wrażenie. Nie stosujemy tego, cośmy dotąd o kirylicy powiedzieli, do ludzi dla których umiejętność czytania i pisanie cały zapas wiedzy i nauki stanowi, ale nawet do ludzi daleko więcej wykształconych i ceniących naukę. Tych nawet odpycha ta zewnętrzna postać strupieszalej starożytności, która szkieletem jakimś prześwieca z poza kształtów kirylicy. Nie przekonanie może nawet gruntowne, ale przecucie jakieś uzasadnione i pewne, wraza w nich to przeświadczenie, że formy te starożytne są już czemś zbyt czułym w obecną chwilę, żeby je można było jakimś łatwiejszym i dostępniejszymi formami zastąpić, i te obumarłe bez życia kształty ubrać w ciało i kości żywego organizmu. Nieprzeświadczone to wymaganie ma jednak za sobą wiele prawdy. Często obraz przesłiczny, zapomniany i zarzucony pod pleśnią pyłu i czasu, umiejętnie sztuką odnowiony, nowy zachwyty i uwielbienie wzbudza. Ilek podobnych przykładów zdarzało się nam widzieć z zabytkami starosłowiańskiej literatury! Odnowione i oczyszczone z pleśni wieków i zapomnienia zabytki tej literatury, świecą jak brylanty promieniami ożywczego i przebudzającego ducha narodowy światła. I zaprawdę, w naszym pochoptym do zczudziemczenia i przemarowania się wieku, zabytki te są jakby opatrnikami drogokazami, koło których kroczyć powinien duch narodowy, duch rzeczywistego postępu, pod strażą i opieką myśli narodowej słowiańskiej. Ale, jeszcze raz powtarzamy, obrazy te pojętymi tylko się staną przez masę, w oczyszczonej z pyłu starożytności i odnowionej formie, zrozumiałej dla teraźniejszości, za pomocą li-tylko jednego polskiego abecadła, które żadnej ich formy zasadniczej nie skazi, żadnej treści nie skrzywi, a tylko istotną, rzeczywistą ich wartość z grobu zamierzchłej przeszłości wydobywszy, uprzytomni i uobecni w teraźniejszości, w formie nie rażącej już oka ani wyobraźni.

Oprócz powyższych względów odstręczającej starożytności, kirylica, z całym zapasem swego greckiego pierwowzoru, należy jeszcze do zabytków azjatyckiego piśmiennictwa. Najłżejszy nawet i bardzo powierzch-

chowny rozbiór glogolicy i kirylicy i porównanie ich z fenickim, chaldejskim, hebrajskim, a także, koptyckim i etyopskim abecadłem, dowodzi prawdziwości tego wniosku. Stanowczy przełom w kształtach: od niezgrabnych, przedłużonych, wyciągniętych niejednostajnie i połamanych, do pięknych, zaokrąglonych zarysów; stanowczy przełom w pojęciach: od większej liczby głosek, które starożytni jak dzieci lubili zabawiać swoją próżność, do mniejszej, ale przygodniejszej do łatwiejszego ich powiązania w zgłoski (*syllaby*) i wyrazy, cechujące dopiero łacińskie, czyste już europejskie i pod wszystkimi powyższymi względami rozważane czyste *postępowe* abecadło. Jużemy sobie zastrzegli uprzednio z oględności, aby ta łacina nie kłuła w oczy uprzedzonych fanatyków, że narodowe wyrobienie się abecadła polskiego, różnem je prawie uczyniło od abecadła łacińskiego; gdyż romańskie plemiona, przyjąwszy samą tylko formę abecadła łacińskiego, bez przerobienia go i przetrwania w żywotnych sokach swoich organizmów, dokonywują tyle niewłaściwych kombinacji głoskowych w zgłoskach, tyle pustodźwięków w wyrazach. Napięramy więc i naciskamy na tę myśl wyłącznie, że tylko język polski i duch tego języka, umiał tę formę *obcą, łacińską*, przetrwać w żywotnym słowiańskim organizmie, i w tak odnowionej formie umiał ją uzdolnić na użytek wspólpiennych Słowian. Abecadło więc nasze, przy całej zewnętrznej postaci oglady, cywilizacji i postępu europejskiego, wyrobionem i udoskonalonem będąc w duchu czysto słowiańskim, dokonało przekształcenia tych wszystkich logicznych kombinacji głosek w zgłoski i zgłoski w wyrazy, które jego nieprzemąganą zaletę stanowią i zupełnie są obcemi wszystkim romańskiemu szczepu abecadłom; bo te, bez przerobienia w duchu narodowym, samo tylko abecadło łacińskie przyjęły.

Julian Kotkowski.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Węgierskie Hradiszce na Morawie. 12 lipca. 1863 r.

Szanowny redaktorze!

Nie bez pewnego uczucia przekory i jakby wstydu biorę za pióro, dla napisania przyrzeczonej o uroczystości welehradzkiej korespondencji. Zapowiadając ją z góry, dałem ci prawo spodziewać się czegoś nadzwyczaj interesującego; wystawiam więc sobie, jak czytając ją dziś, wczysz ramionami, pomrukując: no! miał też co zapowiadać! Jeżeli jednak zawód ten ci sprawiam, to dlatego że sam go doznałem, jak w ogólności doznali go wszyscy, którzy po tysiącletnim obchodzie zaprowadzenia chrześcijaństwa w Morawie nadzwyczajnych spodziewali się rzeczy. Wyznają to dziś, skarżąc się gorzko, same pisma czeskie, które właśnie co do przyszłej wspaniałości święta mnie i tysiące czytelników w błąd wprowadziły, prawda, nie z własnej winy, bo nie przewidując wstrętów, o które rozbił się początkowy program jego.

Bądź co bądź, gdyby chodziło koniecznie o napisanie efektownego artykułu, wzięwszy pełne usta parnego lipcowego powietrza i poczynając od słów: *Lat temu tysiąc*, nietrudno byłoby o welehradzkie święcie napisać kilkaset wierszy bombastycznych ogólników. Ze jednak nie moją jest sprawą nastrojać się na ton konwencyonalnego zachwyty, gdy go nie w duszy nie zbudziło, wybacysz że w takim świetle rzecz ci opiszę, w jakim ja sam oglądałem, skutkiem czego zamiast hymnu, dość prosta wypadnie powieść. Ażeby zaś nie wypadła nadzwyczaj krótko, poprzedzę ją pobieżnym na miejscowość i dzieje Welehradu poglądem, który w żadnym razie dla czytelników naszych zbyt zbytnim nie będzie.

Ów po tylekroć w tych czasach wspomniany Welehrad leży w pobliżu drogi żelaznej krakowsko-wiedeńskiej, a mianowicie stacyi jej *Węgierskie-Hradiszce*, o jakie dziewiętnaście mil od Wiednia położonej. Mała i zwykle cicha ta stacyjka, z kwadrans drogi od miasta tegoż nazwiska oddalona, przedstawia już od czwartego bieżącego miesiąca, to jest od wigilii święta, niezwykle i zajmujący widok. Dniem i nocą zalewa ją bezustannie kilka tysięcy obozującego ludu, oczekującego na pociągi które go do domu odwieść mają, lub święto z wozów wysiadłego. Każdy pociąg wiedzie za sobą nieprzejrany prawie szereg wozów trzeciej klasy, przepelnionych narodem, który się tu wylęwa, czyniąc miejsce odjeżdżającym. Rdzeń tych tłumów stanowią wieśniacy morawscy, czescy i szlascy, z małą przymieszką rzemieślniczą i tym podobnej ludności miejskiej. W zakątkach natkanęj restauracyi dworca widzieć można jaki dziesiątek księży, drugie

tyle nauczycieli wiejskich, i gdzie indziej po sznurowanej na piersiach czamarce wpadającego w oczy studenta, lub jakiego innego *wlastenca* (patryotę) czeskiego. Wszystko to jednak rozrzucone małemi grupkami, jak je przypadek lub dawniejsza znajomość sfornowały; odrazu uderza w oczy brak impulsu do ogólniejszego zbliżenia się, brak wszelkiej dośrodkowej organizacyi i siły. Półgodzinna obserwacya na stacyi dała mi już przeczuć, że święto Cyryla i Metoda będzie niezawodnie bardzo tłumnie nawidzanym odpustem, lecz że mu zbędzie zupełnie na cechach wielkiej, pamiątkowej uroczystości.

W przecuciu tem utwierdziłem się jeszcze bardziej za przybyciem do miasta Węgierskie-Hradiszce, jak już wspomnieliśmy o kwadrans dobry od stacyi kolei żelaznej oddalonego. Miasteczko to wprawdzie nie leży na drodze do Welehradu, dokąd wieśniacze drużyny wprost ze dworca się udawały; zważywszy jednak iż na samem miejscu uroczystości nie można było oczekiwać żadnego pomieszczenia dla przywykłych do jakiegokolwiek wygody podróżnych, spodziewałem się zastać Hradiszce niezmiernie ożywionem, a nawet nieco o znalezieniu noclegu się kłopotalem. Tymczasem zawiadłem się zupełnie w oczekiwanu i obawie swojej. Oba domy zajezdne miasteczka były wprawdzie pełne, i to prawie w każdej izbie po kilku mieszczących gości; to jednak wcale nie znaczy, ażeby napływ ich był wielki, bo razem w obu zajazdach izb gościnnych będzie z dziesięć. Na ulicach żadnego śladu żywszego, świątecznego ruchu, tak że koby nie wiedząc o niczem przybył do miasteczka, aniby się domyślił, że o pół godziny drogi ztąd obchodzi się tysiącletni narodowo-religijny jubileusz.

Zmuszony spędzić pół dnia całe w Hradiszczu, naturalnie nie miałem co lepszego robić, jak oglądać wszystkie kąty miasteczka i zasięgnąć nieco o jego dziejach wiadomości. Leży ono w trochę pagórkowatej równinie, nad rzeką Morawą, otoczone od wschodu, północy i zachodu wieńcem o kilka mil odległych gór, po części do łanucha Sudetów, po części do Karpat należących. Szczególniej dodają piękności widokowi dwa przed inne wysunięte, okrągławe wzgórza, na jednym z których biejele z pośród drzew kościół, szczyt zaś drugiego zalega szeroką masą starożytny i dotąd dobrze utrzymany zamek Buchlowice. Co do Morawy, ta bardzo mało wdzięku przyczynia okolicy, głośnie ta bowiem rzeka, przynajmniej tutaj, daleko pozostaje poza wielkością naszej Prosną, Krzyną i t. p., i płynąc na dnie dość głęboko wydrążonego łożyska, tylko za zbliżeniem widzieć się daje. Kiedyś było to całkiem inaczej. Otaczające miasto role i łąki po części zalewała woda, po części tworzyły trzęsawiska, tak że jeszcze w początkach siedemnastego wieku Hradiszce stało na wyspie i dzięki temu położeniu było dość warownym miastem. Dotąd widzieć można od wschodu i północy szczęty wałów ziemnych i murów warownych, z owej epoki pozostałych.

Miasteczko to cieszy się dość znaczną starożytnością; już bowiem około r. 1260 wzniesionem zostało, jako pograniczna twierdza przeciw Węgom. Nazwa jego *Hradiszce* pochodzi od prastarego grodiszca, ponad Morawą przez pogańskich jeszcze Morawianów usypanego, a dziś na ogródek publiczny obrócone. Oprócz tego grodiszca i zabytków warowni, nie też godnego uwagi więcej w mieście niema; dwa bowiem kościoły, farny i minorytów, ani pod względem starożytności, ani budownictwa wcale się nie zalecają. Zresztą miasteczko ciche, schludne i jak się zdaje kilka tysięcy mieszkańców mieszczące.

Ku zachodowi, poza rzeką, rozciąga się przedmieście, którego nazwa *Stare-miasto* wskazuje, że przed założeniem na wyspie warowni, istnieć tu dawniejsza już musiała osada. Z tego powodu aż do najświeższych czasów mniemano, że słynny Welehrad wielkomorawski na tem stał miejscu. Najnowsze jednak poszukiwania zdaje się gruntownie dowiodły, że owa zagubiona stolica krótkotrwałego państwa wznosiła się zupełnie w pobliżu teraźniejszego klasztoru Welehradu, po części na miejscu, po części na gruntach dzisiejszej wsi *Stare-miasto* zwaną, a o małą milkę od Hradiszca oddaloną.

(Dokończenie nastąpi).

SPRSTOWANIE.

W nrze 200 Tygodnika, mówiąc o pracach rzeźbiarskich p. Józefa Manzla, powiedzieliśmy że wykonany przez niego posąg św. Floryana stoi przy gościńcu pod Zębem. Obecnie jeden z czytelników naszego pisma donosi nam, że dzieło to sztuki wzniesione zostało staraniem i kosztem p. Erazma Szatkowskiego, we wsi jego dziedzicznej Czernikowie, w powiecie lipnoskim, przy trakcie od Lipna do Lubicza, o czem na żądanie donoszącego wspominaliśmy.

(10) Postęp i wsteczność. str. 53. (145).